AS



NR. 16.
16 CZERWCA 1935 R.
CENA 40 GROSZY.

POSĄG I ŻYWE PIĘKNO...

Dolores del Rio lansuje motywy orjentalne w strojach wieczorowych.

NASZ WIELKI KONKURS

NA

NAJPIĘKNIEJSZY UŚMIECH.

Zamieszczone obok zdjęcia stanowią trzecią skolei serję „uśmiechów“, zakwalifikowanych przez jury do wzięcia udziału w naszym Wielkim Konkursie.

Czytelnicy „Asa“, którzy pragną głosować na „najpiękniejszy uśmiech“, znajdą na stronie 30-ej kupon. — Należy go wraz z odpowiednią opinją nadesłać pod adresem naszej Redakcji.













I. „Platynówka“ — Gdynia.

II. „Uśmiech Hucułki“.

III. „Gertruda“ — Bydgoszcz.

IV. „Ermitage“ — Zakopane.

V. „Alix“ — Warszawa.

VI. „Jagna z Podkarpacia“.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66. KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 16 **Niedziela 16 czerwca 1935** **Rok I**

ASY NUMERU 16-GO:



Fot. Sprot General — Londyn.

Znana aktorka filmowa Claire Luce (x), występująca obecnie w londyńskim „Gaiety-Theatre", gratuluje miss Irenie Smithers zwycięstwa w konkursie piękności, urządzonym przez „The Laundry Industry Sports-Club" w Surrey.

KTO ZDOBYŁ TYTUŁ ›WIELKIEGO ŁOWCY‹ POSAGÓW?

„Młody człowiek na stanowisku poszukuje przystojnej, wysportowanej, młodej osoby do lat 30 w celach matrymonjalnych. Majątek dla wspólnego dobra chętnie widziany. Łaskawe oferty z fotografją kierować pod: „Strzały amora".

Tak mniejwięcej brzmią tysiączne ogłoszenia, ukazujące się w dziennikach, a mające ułatwić stworzenie szczęścia rodzinnego. Takie szukanie żony pozbawione jest wprawdzie romantyczności, ale jak oświadczyło mi kilka osób, jest praktyczne i współczesne. Dawniej związki małżeńskie szły koniecznie w parze z obfitemi łzami panny młodej, błogosławieństwem starszej generacji i wielkiem przyjęciem. Dzisiaj bierze się ślub prawie że mimochodem, a jedynie drugie śniadanie gromadzi trochę gości, poczem wyjeżdża się samolotem czy kajakiem na miesiące miodowe.

Instytucja ta zmienia się jednak tylko co do form zewnętrznych. Samolot, auto, czy kolej lub kareta nie przeszkadzają, że zawsze te same czynniki decydują o t. zw. „dobrej" partji: gotówka i względy socjalne.

Od niepamiętnych już czasów znajdowali się ludzie, którzy na małżeństwie opierali swe przyszłe sukcesy życiowe. I to nietylko sukcesy osobiste, ale też wielkość całych państw i dynastyj. Całe średniowiecze, jak również późniejsze czasy pełne są na to przykładów. Gdyby przecież królowa Jadwiga oświadczyła, że przyszły małżonek Jagiełło jej się nie podoba, że się ubiera niemodnie i nie umie prowadzić inteligentnej konwersacji, Polska nie wyrosłaby może na takie mocarstwo, jakiem się stała przez wchłonięcie ziem litewsko-ruskich. Gdyby Stefan Batory, dzielny książę siedmiogrodzki, uważał swą przyszłą żonę Annę Jagiellonkę za zbyt starą, nie otrzymałby może królewskiej korony.

Ileż jednak razy pucołowaty bożek Hymenu, Amor nie przedzierżgał się w krwiożerczego Marsa, który swoje strzały, używane dotychczas jedynie jako broń podjazdowa, zatruwał celem zniszczenia swych nieprzyjaciół! Przecież tak „dobrane" małżeństwo, jakim był związek między arcyksięciem Maksymiljanem a księżniczką Marją burgundzką, obchodzony w 1478 r. z wielkim przepychem, skończył się zatargiem o Burgundję, który trwał prawie że 300 lat. Otrzymawszy jako wiano Burgundję, Maksymiljan musiał ją wkrótce oddać swej córce Małgorzacie, narzeczonej ówczesnego Delfina, a późniejszego Karola VIII. Jak wiemy, Habsburgowie uchodzili i to słusznie, za ludzi, którzy, mówiąc językiem dzisiejszym, lubili się „przyżeniać" do posażnych jedynaczek. To, co im się udawało w ciągu ostatnich 300 lat, było szczytem sukcesów matrymonjalnych, jakie kiedykolwiek odniesiono. Strzały amora, będącego ogniomistrzem w wojskach habsburskich, były znacznie celniejsze od tych, które wypuszczały armaty z cesarskiego obozu. Przecież dzięki tym kombinacjom zdobyli nietylko Węgry, Czechy, Tyrol, ale również bogatą Hiszpanję z jeszcze bogatszemi kolonjami. Nic też dziwnego, że pewien poeta XVI wieku w panegiryku ułożonym na cześć Habsburgów, zamieścił zdanie: „Bella gerunt allii, tu felix Austria nube".

Przeglądając galerję wielkich „epuzerów", jak się wyrażano przed wojną, trzeba wymienić choćby dziadka byłego króla Ferdynanda bułgarskiego, który — ożeniwszy się z księżniczką Kohary, otrzymał za nią olbrzymie dobra na Węgrzech, w ostatnich zaś czasach takie efektowne małżeństwo zawarł kuzyn króla greckiego, książę Krzysztof, żeniąc się z wdową po amerykańskim miljarderze Williamie Bateman Leeds, z domu Stewart. Dodać należy, że olbrzymi majątek szedł na propagandę monarchistyczną, która zrobiła swoje.

A cóż dopiero powiedzieć o małżeństwach w Dawnej Rzeczypospolitej! Wszak Radziwiłłowie wyrośli na fortunach Kiszków i Illiniczów, Lubomirscy zdołali otrzymać część olbrzymiej sukcesji po ks. Ostrogskich, a Potoccy również dzięki szczęśliwym małżeństwom weszli w posiadanie olbrzymich fortun.

Wszystkie jednak wyczyny matrymonjalne bledną wobec kilku małżeństw ostatnich czasów, które odznaczyły się specjalnie efektownemi skutkami. Pewnego pięknego poranku cała Europa przedwojenna zelektryzowana została małżeństwem pięknego margrabiego Bonifacego de Castellane z p. Gould, córką jednego z „króli" amerykańskiego przemysłu. Wziął on za nią olbrzymią na ówczesne czasy sumę 60 miljonów franków, które wkrótce zamieniły się w wspaniały pałac, liczne ekwipaże, wielkie przyjęcia itd. Oczywiście, że nawet silne naówczas dolary nie wytrzymały zachcianek pięknego markiza i wkrótce zamieniły się... w protestowane weksle.

Wszystko to jednak zostało przewyższone



Rodzina Mdivanich na wilegiaturze. Siedzą od lewej: Roussie Mdivani, Hanna Walska, polska śpiewaczka, żona miljonera chicagowskiego Mac Cormicka, Pola Negri — Sergjuszowa Mdivani, za niemi: Sergjusz Mdivani i hr. J. Skrzyński.



Sergjusz Mdivani i Pola Negri podczas uroczystości ślubnych, które odbyły się na zamku słynnej artystki filmowej w Rueil, we Francji.



Margrabia Boni de Castellane ze swoją małżonką, która wniosła mu w posagu olbrzymi majątek.

przez sukcesy matrymonjalne rodziny Mdivanich. Pięciu członków tej rodziny, Nina, Sergjusz, Roussie, David i Aleksy mieli to wątpliwe szczęście, że przez dłuższy czas stanowili temat nietylko licznych reportaży, ale też jeszcze liczniejszych skandali. Dziwna to rodzina! Drobni ziemianie kaukazcy byli synami rosyjskiego generała armeńskiego pochodzenia, właściciela około 30 domów w Tyflisie, któremu nigdy nie marzyła się światowa karjera dla jego dzieci. Rodzeństwo Mdivanowie posiadali jednak właściwy Armeńczykom zmysł kupiecki, to też dostawszy się w r. 1917 do Konstantynopola, a następnie do Paryża, zorjentowali się, że dzięki swojej egzotyczności, zamieszaniu w całym świecie i pewnym walorom osobistym mogą zrobić pierwszorzędną karjerę. Przez dłuższy czas dwóch starszych synów było urzędnikami w amerykańskich biurach towarzystwa naftowego „Sinclair Oil Company". Powróciwszy do Paryża zamieszkali w Passy, na ulicy Des Eaux. Roussie studjowała rzeźbę, a braciszkowie jej szukali bogatego łupu. W tymże czasie Nina Mdivani wychodzi zamąż za bogatego adwokata Hubericha.

Również i Roussie robi karjerę nieposlednią. Poznaje bowiem znanego paryskiego malarza Serta i wychodzi za niego zamąż w roku 1928. Oczywiście, że i tym razem zgodnie z tradycją tej dziwacznej rodziny nie obchodzi się bez rozwodu, gdyż Sert unieważnił w Rzymie swe pierwsze małżeństwo, aby ożenić się z piękną Armenką. Staje się ona wkrótce znaną postacią w Paryżu i figuruje jako bohaterka sztuki Alfreda Savoir'a na deskach teatralnych.

Mdivanowie mają dziwny „węch" w kwestjach matrymonjalnych, to też każdy z nich ma w zapasie kilka flirtów, które w danym wypadku mogą doprowadzić do małżeństwa.





U góry: Barbara Hutton, dziedziczka olbrzymiego majątku w chwili przybycia przed cerkiew prawosławną w Paryżu na ślub z Aleksym Mdivanim. — Na lewo: Aleksy Mdivani wraz z żoną odwiedził w podróży poślubnej Japonję, zwiedzając m. i. teatr w Tokio i zapoznając się z artystami japońskimi.

Sergjusz i David jadą do Ameryki i pracują przy eksploatacji nafty. Wkrótce David poślubia gwiazdę filmową Mae Murray, która jest dwa razy starszą od męża, ale ma wielki majątek. Sergjusz poznawszy w Paryżu Polę Negri, primo voto hr. Eugenjuszową Dąmbską, wkrótce ją zaślubia. W tymże czasie na widowni występuje również najmłodszy z braci, Aleksy, który dotychczas studjował w Anglji. Zaprzyjaźnił się z rodziną Van Allem i po pewnym czasie ożenił się z ich siostrą Ludwiką, bardzo posażną panną. Małżeństwo z Polą Negri stało się powodem wielkiego skandalu, gdyż Mae Murray pragnęła być jedyną księżną w Hollywood.

Wybitną rolę w tej rodzinie odegrał Aleksy, który okazał się pierwszorzędną głową do interesów. Udało mu się nietylko „zmontować" fikcyjne poselstwo gruzińskie, które zatwierdziło mu niemniej fikcyjny tytuł książęcy, ale dzięki swemu małżeństwu stał się właścicielem wspaniałej stajni wyścigowej i jednym z najbardziej znanych graczy w polo. W tymże czasie Sergjusz zdołał się rozwieść z Polą Negri i stara się, zresztą z dobrym sukcesem, o rękę Mary Mac Cormick, amerykańskiej multymiljonerki. Interesy rodziny Mdivanich idą coraz lepiej. Mdivaniowie stają się nabytkiem bardzo cennym dla egzotycznego, bawiącego się, towarzystwa paryskiego, które nie pyta o przeszłość, kontentując się stanem obecnym. Wkońcu małżeństwo Aleksego z Barbarą Hutton, jedną z najbogatszych kobiet Stanów Zjednoczonych, właścicielki kilkuset magazynów o jednolitych cenach, w cerkwi prawosławnej, sprowadza najwybitniejsze osobistości paryskiego świata na ten obrzęd. Małżeństwo to daje Aleksemu 20 miljonów dolarów „na rękę". Wkrótce jednak skandale w tej rodzinie stają się tak głośne, że zarówno Mae Murray, jak i Mary Mac Cormick zamykają swe konta bankowe dla małżonków. Amerykańskie prawo małżeńskie, będące pod tym względem bardziej surowe od europejskiego ustawodawstwa, kwalifikuje obu braci, podczas rozwodowych rozpraw jako... sutenerów. Obie panie uzyskują rozwód, a również Barbara Hutton porzuca ostatnio swego małżonka, wychodząc następnie zamąż za niemieckiego arystokratę. Aleksy Mdivani posiada obecnie dwie stajnie wyścigowe w Paryżu, urządza światowe zawody gry w polo, poluje z maharadżą z Jaipuru na lwy i tygrysy. Braciszkowie jego spekulują na giełdzie i wszystko jest w najlepszym porządku.

Współczesne poglądy uczyniły niestety z instytucji cieszącej się dotychczas czcią i poważaniem taką samą transakcję handlową, jak każdą inną. Upadły dawne tradycje, te wszystkie dodatki, które małżeństwu dawały dużo uroku i poezji, pozostała tylko intercyza ślubna, stanowiąca „clou" umowy małżeńskiej. Jakkolwiek zniknęły w wielu państwach urzędy łowczych nadwornych, to.... łowcy posagowi istnieją w dalszym ciągu i bodajże mają znacznie wyższe apanaże, jak tamci. Co do Mdivanich, to nikt dotychczas nie przewyższył ich w umiejętności wyszukiwania, a co najważniejsze, zaślubiania bogatych jedynaczek.

Jan Maleszewski.



Cesarz Maksymiljan I, który przez małżeństwo z Marją ks. burgundzką stał się dziedzicem jej ojczystego księstwa, co w następstwie doprowadziło do długoletnich wojen.

Hallo! - Hallo! - Trzy rozmowy międzymiastowe

I. PEKIN—TOKIO.

TOKIO — *japoński minister spraw zagr.:* Hallo — czy Pekin — czy to pan, panie kolego przy aparacie?

PEKIN — *chiński minister dla spraw zagranicznych:* Tak... Ja... co wasza wysokość rozkaże?

TOKIO: Mam dla pana wspaniałą nowinę — nasz mikado okazał się tak łaskawym dla Chin, że przygotowuje wam nową niespodziankę

PEKIN: Niegodni jesteśmy łask syna słońca...

TOKIO: Nasz pan i władca sądzi, że Pekin jako najpiękniejsze miasto świata...

PEKIN: Ależ nasze miasto jest ruderą, nie wartą jednego spojrzenia mikada.

TOKIO: Ruderą jest Tokio i Mukden — Pekin jest miastem umiłowanem przez bogów — pan nasz więc zadecydował, że stolica państwa Mandżuko zostanie przeniesiona do Pekinu.

PEKIN: Padamy na twarz, aby dziękować niebiosom za ten bezmiar łask, ale czem zasłużyliśmy — o nieba — na tak wielką życzliwość syna słońca?

TOKIO: Mikado miłuje naród chiński i pragnie zapewnić mu wieczysty pokój, dlatego też rozkazał niegodnym pułkom swoim, aby przeszły mur chiński i po wsze czasy, jak psy brudne strzegły pałaców światłych mandarynów chińskich.

PEKIN: Szczęście nasze jest bez miary. W tej chwili wydamy rozkaz, aby zwycięskie pułki braterskiej armji japońskiej zostały powitane salwą hołdowniczą naszych starych, zardzewiałych gruchotów, zwanych niesłusznie armatami. Niech bogi mają w opiece waszych dzielnych żołnierzy, którzy po dalekiej wędrówce spoczną na naszej ziemi.

TOKIO: A więc do zobaczenia w Pekinie — czy otrzymaliście już te kosze kwiatów, jakie nasi lotnicy mieli zrzucić na wasze miasto-ogród, miasto najbardziej pod słońcem przez bogów i ludzi umiłowane?

(Dalszą rozmowę przerywają wybuchy bomb lotniczych, spadających na Pekin).

PEKIN: Panie kolego — najmocniej przepraszam za przerwę w naszej rozmowie telefonicznej.

II. RZYM—GENEWA.

RZYM — *przy aparacie dyktator Włoch:* Hallo czy to Genewa — w tej chwili kładę podwaliny pod pokój wszechświatowy.

GENEWA — *przy aparacie przewodniczący sekcji rozbrojeniowej:* Duce — świat cały patrzy w niemem uwielbieniu na twą akcję pokojową.

RZYM: Właśnie dla utrzymania pokoju we wschodniej Afryce zarządziłem mobilizację trzech dalszych dywizyj, które tylko przemocą udało mi się zatrzymać w Europie. Chłopcy rwą się do Afryki.

GENEWA: „Liga Narodów" pragnąc uczcić najbardziej pokojowego męża stanu nadała wam Duce — godność „księcia pokoju".

RZYM: Bardzo słusznie... gdyby nie podstępne działania Anglików zajęlibyśmy całą Abisynję na drodze najzupełniej pokojowej... lecz nasi wrogowie i wrogowie pokoju uzbrajają podstępnie te dzikie plemiona...

GENEWA: Jeśli jest to prawdą, natychmiast każemy rozbroić się Abisynji, której siły zbrojne zagrażają pokojowi europejskiemu...

RZYM: Zawiadamiam, że w tej chwili rozpocząłem mobilizację trzeciej eskadry gołębi pocztowych, piątej eskadry kajakowej, dwóch pułków tanków i trzystu samolotów, koniecznych dla utrzymania prestiżu białej cywilizacji wśród czarnych dzikusów.

GENEWA: W tej chwili połączyliśmy się ze Sztokholmem...

RZYM: Pokój w Afryce będzie utrzymany do ostatniej kropli krwi żołnierza włoskiego.

GENEWA: W tej chwili otrzymaliśmy radosną wiadomość ze Sztokholmu Duce, — w uznaniu wiekopomnych zasług dla utrzymania pokoju w Afryce przyznano ci — nagrodę Nobla...

RZYM: Nagrodę pokoju?...

GENEWA: Nie — tylko — dwie nagrody — nagrodę pokoju i nagrodę chemji za użycie nowych, niezawodnych gazów bojowych...

(W Rzymie odbywają się manifestacje na cześć podwójnego laureata).

III. KRAKÓW—WARSZAWA.

WARSZAWA — *przy aparacie sekretarz min. spraw zagr.:* Hallo — czy Kraków — proszę nam podawać dokładny przebieg meczu z Berlinem.

KRAKÓW: *Tu prezes komitetu propagandy Czynu Polskiego.* Siedzę w tej chwili na trybunie i nie mogę mówić, gdyż rękę mam zajętą oddawaniem hitlerowskiego pozdrowienia... Hallo — hallo — już mogę mówić. Nastrój wyśmienity. Jesteśmy pewni zwycięstwa...

WARSZAWA: Pamiętajcie... Nie będzie Niemiec strzelał nam goli ni bramek nam zabierał. Twierdzą wam będzie każdy gracz. Europa na was patrzy. Jeszcze przed dwoma laty taki mecz był niedopomyślenia, nie zmarnujcie wielkiego dorobku naszej polityki zagranicznej.

KRAKÓW: Nasi atakują — czuję w nich krew tych z pod Samosierry — ruszyli ławą... nie dadzą piłki...

WARSZAWA: Hurra! Hurra... co to będzie w Londynie, Nowym Jorku po tym tryumfie, papiery nasze pójdą o sto procent w górę... Czy jest gol?...

KRAKÓW: Już... już... jeszcze nie...

WARSZAWA: A dlaczego tak krzyczą?

KRAKÓW: Jest gol, ale dla Berlina....

WARSZAWA: Hańba... hańba.... Kraków taki zawsze oporny obcej przemocy — uległ...

KRAKÓW: Znowu jesteśmy pod bramami Berlina...

WARSZAWA: Ognia... ognia... no strzelajcie...

KRAKÓW: Już oddaliśmy piłkę... o drugi gol dla Berlina.

WARSZAWA: Przegrana... więc na to pan minister przez trzy lata pracował nad wzmocnieniem naszej sytuacji zagranicznej, byście to w dwu godzinach zmarnowali... Hańba — Niemcy triumfują w mieście, gdzie stoi pomnik Jagiełły i gdzie odbierano hołd pruski... wstyd...

(Rozmowa została przerwana — motto trzeciej rozmowy: Niech inni kopią rowy strzeleckie, my kopmy piłkę).

Mikrofon



Jak głoszą pisma Japonja zamierza uczynić Pekin, starodawne miasto chińskich cesarzy, stolicą Mandżurji. Pekin odznacza się jak widzimy pięknemi budowlami i nad wyraz charakterystycznemi bramami miejskiemi.



Oddawna już zatarg abisyńsko-włoski przechodzi różne fazy, strasząc Europę wojną. Na zdjęciu widzimy radę wojenną w Addis-Abeba, stolicy Abisynji, w efektownych strojach miejscowych.



Japonja coraz bardziej opanowuje Chiny, do czego służy jej cesarstwo Mandżukuo, będące „oknem" na świat chiński. Wizyta cesarza mandżurskiego w Tokio zacieśniła tylko wzajemne węzły.



Mistrzowska para Austrji w grze mieszanej, pp. Kraus i Haberl na kortach krakowskiego AZS-u. Fot. „As".

CO BYM ZROBIŁA GDYBYM ★ MIAŁA 1,000.000?

Jest dzień upalny. Strugi złotego żaru spływają między wyniosłe drzewa parku krakowskiego. W sennej atmosferze usypia na ławce jakaś para staruszków. W pobliżu koło stawu bawi się w cieniu grupka dzieci... Dalej panuje już niezmącona cisza...

Wtem z przeciwnej strony, z poza zwartego muru listowia zrywa się burza oklasków... Na czerwonym dywanie tenisowego kortu, wkrojonym w zieleń murawy i oprawnym z trzech stron w drewniane ramy zaludnionych trybun, uwijają się jakieś postacie w pogoni za białą piłeczką... Ta, niby świetlany punkt z komedyjek Walta Disneya, znacząc tam rytm melodji wśród liter biegnącego tekstu — tu przenoszona umiejętnem uderzeniem rakiet nad siatką wybija raz po razu na obydwóch płaszczyznach kortu punkty zwycięskie... Dla kogo? — Czy dla tej małej, uśmiechniętej dziewczyny, co lekko, zda się bez najmniejszego wysiłku podchodzi do nadlatującej piłki i wysyła ją zabójczo długim drivem wzdłuż bielejących linij? Czy może dla jej vis à vis, co na pierwszy rzut oka wygląda w swych krótkich, obcisłych spodenkach na dorodnego młodzieńca, który energicznie się broni przed atakami mistrzyni Polski? — Mecz kończy się... Na wieży wyników pojawią się cyfry, głoszące w języku rycerzy białego sportu zwycięstwo Jadwigi Jędrzejowskiej...

Z pochyloną głową schodzi z kortu pokonany „chłopiec", pierwsza rakieta Austrji, Rosa Kraus. Publiczność mimo przegranej oklaskuje ją gorąco, zachwycona stylem gry zawodniczki i jej niezwykłym charme'm.

Kto, jak kto — pomyślałem — ale ta chyba wie, czego chce! I już po paru minutach prosiłem pannę Kraus, by zabrała głos w naszej drugiej ankiecie.

— Cobym zrobiła, gdybym miała miljon? To paradne pytanie! Musi mi pan trochę pomóc, bo jestem zupełnie oszołomiona tą górą złota! A zresztą powiem prosto z mostu: żyłabym dzień i noc tenisem — tak długo, dopókibym nie doszła do mistrzostwa świata! Bo to jest mojem największem pragnieniem! Nie ma pan jednak pojęcia, jak trudno człowiekowi, który musi się ograniczać w wydatkach, dojść do pierwszorzędnych wyników w białym sporcie, może najkosztowniejszym ze wszystkich innych. Wszyscy mi mówią, że posiadam doskonałe warunki fizyczne i psychiczne. Nawet trener jest ze mnie dumny. W Austrji znalazłam się na pierwszem miejscu. — Ale to wszystko nie daje mi zadowolenia. Pozatem mam te same pragnienia, co każda młoda kobieta... No! ale niech mi pan teraz powie, coby pan zrobił, mając miljon „w kieszeni"?

— Odpowiem na to pytanie wtedy, gdy zostanie pani redaktorem jakiegoś wiedeńskiego „Asa", a ja mistrzem Polski w tenisie! J. L.

Poniżej: Rosa Kraus, pierwsza rakieta Austrji, w czasie treningu w Parku Krakowskim.
Fot. Bośniacki — Kraków.





Jedna z charakterystycznych scen popisów baletu Parnella.

że jest ono najzupełniej słuszne. Publiczność zagraniczna — mówimy w tym wypadku wyłącznie o niemieckiej — przyglądająca się tańcom polskiego zespołu w kostjumach o barwach narodowych, znajduje w nich szereg przesłanek, wtajemniczających ją w mentalność narodu polskiego, w jego charakter i rasę.

Balet Parnella był dla publiczności niemieckiej odzwierciedleniem polskości. Dotychczas bowiem w Niemczech mało o nas wiedziano. Dlatego też wysiłki naszej propagandy w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy idą ze zrozumiałych względów w kierunku należytego poinformowania ogółu niemieckiego o stosunkach, panujących w sąsiednim kraju Przyznać trzeba, że propaganda nasza poczyniła już w Niemczech kolosalne postępy. Szereg wystaw polskich, odczytów, koncertów i podobnych imprez był należycie uplasowany i zrobił swoje. Szczytem tego wszystkiego był jednak balet Parnella, który należy obok Chóru Dana zaliczyć do najbardziej nadających się do reprezentowania sztuki naszej zagranicą, zespołów.

Czytelnikowi polskiemu, dowiadującemu się z gazet o zachwycie zagranicy baletem Parnella — może się to poniekąd wydawać dziwnem. Dlatego trzeba też specjalnie podkreślić, że zagranicę interesuje najbardziej właśnie to, co my w kraju u siebie uważamy za codzienne i powszednie zjawisko. Jako klasyczny przykład może nam przytem posłużyć nasza polska produkcja filmowa. Dlaczego polskie filmy nie mają zagranicą powodzenia? Zagranica szuka bowiem w polskich filmach czegoś dla siebie nowego, czegoś polskiego. Eleganckie bary i dancingi, od których się roi w każdym polskim obrazie, są w zagranicznych halach atelierowych lepiej robione niż w warszawskich.

I w tem właśnie tkwi tajemnica powodzenia baletu Parnella zagranicą. Balet ten ma dlatego tak kolosalne powodzenie, bo jest polski, nie małpuje nikogo i stanowi tak pod względem choreograficznym, jak również folklorystycznym coś nowego, dotychczas niespotykanego. Prasa berlińska pisała, że balet Parnella demonstruje przeważnie tańce, które są zakorzenione w polskim ludzie, w polskiej historji i baśni, w muzyce i wogóle całej polskiej mentalności.

Program berliński baletu Parnella był pod tym względem bardzo mądrze dobrany i reprezentuje godnie polski balet narodowy zagranicą Na szczególne podkreślenie zasługują niektóre „numery", demonstrowane przez balet z dużem powodzeniem. — Do nich należy np. taniec zatytułowany „Lajkonik Zwierzyniecki", którego akcja toczy się w Krakowie podczas najazdu Tatarów. — Na tle wspaniałej zwierzynieckiej dekoracji widzi się, jak rozbawiony ludek krakowski odpiera napad wodza Tatarów i po odniesionym sukcesie tańczy Krakowiaka. — W zupełnie inny świat wprowadza natomiast mazurek p. t. „Ułan i panna". Przy dźwiękach nieśmiertelnej muzyki Chopina młody ułan z czasów ks. Józefa Poniatowskiego w historycznym mundurze zaleca się do panny, wyrażając swe uczucia za pośrednictwem estetycznie skomponowanego tańca, wykonanego przez Parnella. Uroczą panną była świetna, jak zwykle — Zizi Halama.

Na zakończenie tej korespondencji należy jeszcze dodać, że zespół baletu, składającego się z 12 osób, do którego należą tak wybitne indywidualności artystyczne, jak — pomijając już Halamę i Parnella — Janina Leitzkówna albo Pola Szmarówna — jest wyśmienicie stańczony i stanowi nierozerwalną całość.

Keld.

PARNELL TAŃCZY...

Jak to Czytelnikom „Asa" z porzednich korespondencyj wiadomo — bawi zagranicą na gościnych występach trupa baletowa Parnella. Opinja publiczna w Polsce jest już poinformowana o niebywałych wprost sukcesach baletu tego w Paryżu. W Berlinie występowała trupa Parnella przez cały miesiąc maj w „Wintergartenie", jednym z największych europejskich music-hallów.

Wyjazd naszego zespołu tanecznego zagranicę spowodował słynny rosyjsko-francuski tancerz, Sergjusz Lifar, goszczący parę miesięcy temu w Warszawie. — Powiedział on pewnego razu, że „duszę danego narodu poznaje się nie w jego muzeach, jego książkach, jego sztukach teatralnych, ale w rytmie jego tańców"...

Można się do powiedzenia tego ustosunkować pozytywnie lub negatywnie. Wychodząc jednak z założenia Lifara z punktu widzenia propagandowego należy zaznaczyć,



Tematy ludowe stanowiły główny element w występach polskiego zespołu zagranicą.



„Dożynki" w interpretacji polskiego baletu.



Tradycyjny obrzęd „Lajkonika" stanowił temat wysoce artystycznego obrazu baletowego.

NOWELA. ŚMIERĆ W SZANGHAJU

MACIEJ FREUDMAN ILUSTR. Z. HAUPT

Śmierć Krzysztofa Lemana wstrząsnęła mną do głębi i na długo nie pozwoliła wrócić do równowagi. Nietyle sama śmierć, ile niesamowite wprost okoliczności, które zgonowi temu towarzyszyły, oraz niewiarogodne dzieje ostatnich lat życia tego nieszczęsnego chłopca. Już nieraz chciałem wytłumaczyć sobie bezsensowność całej historji, nieraz próbowałem podważyć usadowienie się tych wspomnień w myślach, nazywając je poprostu sam przed sobą halucynacjami. Napróżno. Jakże mogłem uznać to za bezsensowne, jakże mogłem wyrwać z mózgu te wspomnienia i uważać za wytwór halucynacji, kiedy to wszystko naprawdę się działo i sam to na własne oczy widziałem.

Spotkałem się z Krzysztofem na krótko przed jego śmiercią w najdziwniejszem, a przytem najsmutniejszem mieście na świecie — Szanghaju. Nie wiedziałem i nigdybym nie przypuszczał, że go tutaj spotkam. Cóż mógłby robić tutaj w tem mieście kupców, głodnych kulisów, wykolejonych białych i europejskich konsulów — mój rozmarzony zawsze na błękitno i szukający zawsze błękitnych tematów dla swojej literackiej roboty Krzysztof? Nawet ja, uchodzący w paczce swoich dawnych przyjaciół za „wyrachowanego awanturnika" nie siedziałem w tem mieście z własnej woli. Tego roku skończył się mój trzyletni kontrakt z panami Colverson and Count Comp. (herbataplantacje, handel, eksport) i pan Count ze zwykłym sobie w tych wypadkach despotyzmem zadecydował, że ostatnie trzy miesiące spędzę w Szanghaju i uporządkuję nieco zagmatwane i podejrzane stosunki w tamtejszym oddziale firmy. Siedziałem więc w „naznaczonem przez Boga mieście", porządkowałem rachunki, straszyłem kierownika i klątem co wlazło, czekałem wreszcie, kiedy się to wszystko skończy i kiedy już wrócę do kraju, a ściśle mówiąc do swojego Lwowa.

Historja, którą opisuję, wydarzyła się pod koniec mojego pobytu, na jaki tydzień przed wyruszeniem angielskiego olbrzyma „Lady Rovena", który miał mnie zawieźć do Sauthampton. Perspektywa bliskiego odjazdu wprawiała mnie w znakomity humor, wobec czego wszystkie niemal szanghajskie poranki widziały mnie bladego i chwiejnie wstępującego po schodach hotelu „D'Artois", gdzie zamieszkałem.

Tego dnia, a raczej tego wieczoru, zmieniłem zwyczajną marszrutę. Obmierzły mi już amerykańskie fizjognomje męskie, które żłopały po nocnych barach whisky, jak barszcz, kobiety zaś, które przyciskały swe twarze z zapałem godnym lepszej sprawy do policzków tańczących z niemi więcej niż podejrzanych obieżyświatów na parkietach ociekających tanią wspaniałością barów. Kazałem się wieźć kulisowi do dzielnicy krajowców, na ulicę słynną z herbaciarń. Mój woźnica i koń zarazem zupełnie się moim filochińskim sentymentem nie wzruszył i równym kłusem zawiózł mnie tam, gdzie wskazałem.

Zwiedziłem jedną, drugą, trzecią herbaciarnię... nigdzie mi się nie podobało. Byłem już zły i podenerwowany, kiedy wkraczałem do czwartej. Nagle w wąziutkiem przejściu zapchanego gośćmi lokaliku wyrósł mi nagle pod nogami stolik; kopnąłem go ze złością.

Dopiero po niezbyt uprzejmym okrzyku poznałem, że przy stoliku siedział Europejczyk. Narazie widziałem tylko zgarbione plecy, w ciemnozielonem wytartem ubraniu. Plecy powoli się wyprostowały. Odwrócił głowę i wtedy ukazała się twarz blada i jakby wycieńczona wielkiem cierpieniem. Spojrzałem dokładniej w jej rysy i oczy i...



...w wąziutkiem przejściu zapchanego gośćmi lokaliku wyrósł mi nagle pod nogami stolik...

— Krzyś, na miłość Boską, co ty robisz w tej przeklętej dziurze — wrzasnąłem, wywracając z emocji kopnięty przed chwilą stolik. Ręce moje, przed paroma sekundami prężące się do zboksowania ewentualnego napastnika, zacisnęły się teraz mocno wokoło ramion i pleców spotkanego po trzech latach przyjaciela.

Byłto to Leman, mój żywy, prawdziwy Krzysztof Leman... Powoli i delikatnie wysunął się z moich nieco za silnych uścisków i delikatnie ujął moje dłonie. Przytulił je do piersi. Milcząco patrzył tylko w moje oczy, patrzył, jakby chciał patrzeniem wyrwać z nich wspomnienia całej najcudniej i najradośniej przeżytej, wspólnie młodości. Dopiero teraz widziałem twarz jego dokładniej i... przeraziłem się. To był przecież tylko cień twarzy mojego dawnego Krzysia. Zgubił się na niej ślad subtelnego uśmiechu, który zawsze siedział jakby murowany w zagięciach warg, czaił się w kącikach czułych, ciemnych oczu, przesuwał się po gładkiem, białem czole. Teraz miałem przed sobą wprawdzie zarysy dużego prostego nosa, mocno wy'łatnej brody i wysuniętych proporcjonalnie kości policzkowych (wszystko to było charakterystyczne dla dawnego Lemana), ale nos i te policzki i broda wyostrzone były do niemożliwości i obciągnięte brudnożółtą skórą. Czoło było jak przedtem wysokie i nieco łysiejące, lecz miast białości przywarł do niego jakiś niesamowity, zmarszczony wyraz. Schudł, podniszczone ubranie fałdowało się na nim nieestetycznie i widziałem, że ręce mu się trzęsły jak u starca. Tylko oczy patrzyły na mnie te same co przedtem, bardziej może nawet aksamitne i silniej płonące wciąż nieugaszonym ogniem.

— Krzysiu, Krzysiu mój — szeptałem, gładząc jego drżące ręce. Pytałem, indagowałem: skąd, jakim sposobem, gdzie, poco... Wiedziałem, że w parę miesięcy po moim wyjeździe miał udać się na rok do Hiszpanji, dzięki jakiemuś rządowemu stypendjum, wiedziałem, że Hiszpanja była najsilniejszem marzeniem młodego pisarza. Ale tu — w Szanghaju?...

Nie odpowiadał. Czasem pomrukiwał coś niewyraźnie i niechętnie. Postanowiłem go wyciągnąć z tej budy. Zaproponowałem udanie się na kolację do mojego hotelu. Odmówił. Potrząsał głową, wskazując oczami tylko na swoje wytarte ubranie. Zrozumiałem. — Może w takim razie zaprosisz mnie do siebie — zaproponowałem. — Zgodził się ze smutnym uśmiechem.

Nie spodziewałem się, że z Krzyszto-



Mieszkali oboje za miastem w tym słynnym domku...

łem Lemanem, jednym z najlepiej zapowiadających się pisarzy młodego pokolenia polskiego może być aż tak źle. Mieszkał w niemożliwie brudnej izdebce, mieszczącej się przy herbaciarni chińskiego pensjonatu. Kiedy usiedliśmy obydwaj na prymitywnie skleconem z drzewa łóżku (krzeseł nie było), zaskrzypiało ono i zaczęło się walić. Nie było innej rady i usadowiliśmy się na ziemi, na przegryzionej przez myszy ryżowej macie. Było mi poprostu strasznie w zaduchu wąskiego pokoiku, a równocześnie cudownie w bliskości tego chłopca, którego najbardziej kochałem ze wszystwich swoich lwowskich przyjaciół. Znowu zacząłem zarzucać go pytaniami. Odpowiadał krótko i węzłowato. Nie mogłem go sprowokować mimo wysiłków do żadnych bardziej szczegółowych wyjaśnień jego obecnego stanu. Zniecierpliwiłem się.

— Słuchajno Krzysztof, do stu djabłów... Wiesz, że ze mną niema żartów. Spiorę cię na kwaśne jabłko i nawet nikt się za tobą nie ujmie. Co ty mnie tu będziesz mówił: „pojechałem do Hiszpanji, a potem do Peru, a potem na Cap, a potem do Bombaju i tak dalej i tak dalej i wreszcie do Chin". Powiedz mi skąd brałeś się na tych wszystkich krańcach świata, co cię tam gnało i z czegoś wreszcie żył, co robiłeś?...

Nie chciał mówić. Nacisnąłem mocniej. Wreszcie... Zapalił papierosa, popatrzył się mi w oczy:

— Zawsze żyliśmy z sobą najbliżej, mój stary. Ufaliśmy sobie jak bracia. Ale w to, co ci teraz opowiem, nie uwierzysz. Będziesz uważał mnie za warjata, jeśli już teraz mnie za takiego nie masz...

W tej chwili ścisnęło mi się serce przeczuciem czegoś okropnego. Prawie, że zwidziała mi się w tej chwili straszna śmierć Krzysztofa, do której było już tak niedaleko. Nie dałem tego po sobie poznać. Kropnąłem go po kolanie i zachęciłem do opowiadania.

— Czy pamiętasz Renatę Girardową, żonę Bolka Girarda? — rzucił nagle.

— Pamiętam.

— Pamiętasz zatem, że na krótko przed twoim wyjazdem na Wschód zadurzyłem się trochę w niej, a właściwie nie w niej, lecz w niesamowicie żółtych włosach i metafizycznym uśmiechu, przylepionym jakby do twarzy. Wszyscyśmy wtedy żerowali na metafizyce. I ty i ja też. Pamiętasz, wytańcowywałem z nią na wszystkich naszych tańcówkach. Czasem przychodziłem do niej na herbatkę. Mieszkali oboje za miastem w tym słynnym domku, który zbudowali sobie z drzewa. Bolek-architekt i malarz, ona doktor filozofji, zajmująca się nieco literaturą. Właściwie do niczegośmy nigdy nie doszli, ona kochała bardzo Bolka..

Przerwałem:

— Krzyś, proszę cię jeszcze raz — nie bajdurz mnie tutaj o Renacie Girardowej, ale mów, co cię aż do Chin zawlokło.

Leman uśmiechnął się. Ciągnął dalej.

— Właśnie. Otóż niedługo potem kiedyś ty z nami się pożegnał, Bolek Girard dostał jakąś budowę na prowincji i wyjechał. Renata została w mieście. Nie wpłynęło to zresztą na realny bieg naszego stosunku, conajwyżej częściej i dłużej przebywaliśmy razem, rozmawiając o najróżniejszych i przeważnie makabrycznych historjach. Mówiła mi kilka razy, że jest bardzo dobrem medjum. Nie zwracałem na to większej uwagi. Jednej soboty wracałem o dziesiątej do domu ulicą, biegnącą obok parku. Był maj. Liljowo od bzu w ogrodach. Nagle odezwała się we mnie przemożna chęć zobaczenia Renaty. Nie widziałem jej już od od paru dni. Przypomniałem sobie o jej medjalnej sile. Poprostu dla żartu i nie wierząc w powodzenie „zażądałem metafizycznie" od swoich myśli, żeby ona właśnie znalazła się na mojej drodze. Słuchaj, ty musisz mi wierzyć. Nie przeszedłem nawet dwudziestu kroków, kiedy spotkałem Renatę.

— I mnie się to ostatecznie zdarzało, że spotykałem kogoś, jeśli bardzo tego chciałem — mruknąłem.

— Naturalnie. Zdarza się. Renata zatrzymała się i podała mi rękę: „Wie pan, że kiedy weszłam w tę ulicę byłam pewna, że pana spotkam". I przez cały czas opowiadała mi o najdziwaczniejszych swoich myślach. Było świeżo po deszczu i na pustem przedmieściu nia paliły się latarnie. Weszliśmy do domu.

I tu zaczęło się wszystko. Jak wiesz, w domku tym mieszkali tylko oni oboje. Teraz ona sama. Kiedy weszliśmy do hallu, było zupełnie ciemno. Elektryczności tam niema. Przysunęła się do mnie blisko — czułem to, bo w ciemności nie widziałem nawet jej żółtych włosów — i szepnęła: Niech pan tu poczeka. Ja w ciemności widzę, więc pójdę po światło". Odeszła. Słyszałem jej kocie spinanie się po drewnianych schodach.

Wydało mi się w tej chwili, że to wszystko nie dzieje się naprawdę. Że ja jestem jeden tutaj żywy i rzeczywisty. Że Renata umarła w ten dzień rano czy popołudniu i że to jej fantom mnie tutaj zawiódł. Było przecież tak upiornie ciemno. Za chwilę gdzieś w górze słabo zalśniło światło. Na szczycie schodów wiodących do pokoi z hallu stanęła Renata, osłaniająca ręką migocącą świeczkę. W żółtawem świetle z twarzy jej było widać tylko złote włosy i jasny w tej chwili uśmiech. Nie zapraszała mnie słowami — kiwała tylko śmiesznie i makabrycznie zarazem ręką. Teraz byłem już prawie pewien, że to upiór. Szedłem jednak po schodach, jak urzeczony, szedłem po swoje przeznaczenie.

Słuchałem w milczeniu. A on mówił dalej:

— Usiedliśmy w jej pokoju na niskim tapczanie. Płonęła tylko świeca w dziwacznie rzeźbionym lichtarzu. Opowiadała mi o swojem życiu. A potem zegar wydzwonił północ. Oczekiwałem, że Renata, upior Renaty rozwieje się w ciemności. Zamiast tego Renata objęła mnie swojemi ramionami. Teraz nie myślałem już o niczem, nie snułem niesamowitych domysłów. Wiedziałem, że żywą kobietę trzymam w swoich ramionach.

Wyszedłem rano. W południe spotkałem w kawiarni Alę Sawicką. Na wstępie poinformowała mnie, że dzisiaj wieczorem wraca Renata. Zbladłem. „Skąd wraca?" — wykrztusiłem. — Ano z Manastyrki. Pojechała przed trzema dniami odwiedzić Bolka". — Musiałem przestraszyć Alę. Wybiegłem bowiem jak szaleniec. Zamknąłem się w domu. Siedziałem, nie widząc nikogo i nie jedząc prawie przez tydzień. Mózg bolał mnie, jak rana. Po tygodniu wyszedłem. Spotkałem Bolka, który już wrócił i dzielił się ze mną wrażeniami wiejskiemi. Opowiadał mi też, że Renata była u niego przez trzy dni i wyjechała ubiegłej niedzieli rano. Pytał się także, co robię po całych dniach, bo Renata kilka razy na dzień do mnie telefonuje z zaproszeniem na herbatkę i nikt się nie zgłasza do aparatu. To jedno zrozumiałem — sam bowiem telefon wyłączyłem w napadzie niesamowitego nastroju.

Nie skusiły mnie nawet listy Renaty, zdziwione i zapraszające, których kilka dostałem. Nie mogła zrozumieć, co się stało, że po przyjeździe ze wsi unikam jej. Nie widziałem jej już więcej. Powoli się uspokajałem i powracałem do normalnego trybu życia, kiedy przyszło stypendjum i wyjechałem do Hiszpanji...

Westchnął ciężko i otarł chustką spocone czoło. Cicho a przejmująco szepnął mi prosto do ucha:

— Przyszła do mnie w Toledo...
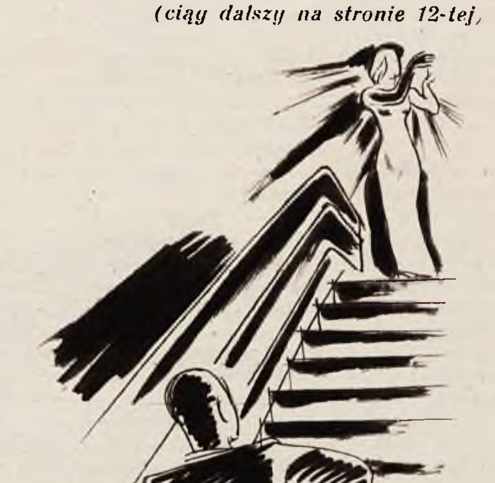
— Kto? — wrzasnąłem i ciarki przebiegły mnie w zimnym dreszczu.

— Ano, Renata. Mieszkałem w małym hoteliku na placu Dominikanów. Pewnego wieczoru — leżałem już w łóżku — otworzyły się drzwi mojego pokoju. Usłyszałem szelest. Przyszła tak, jak wtedy — owej nocy... Jedną dłonią zasłaniała słabe światło małej świeczki. Widać było tylko jej żółte włosy i tkliwy, a przytem straszliwy uśmiech. Zbliżyła się do mnie blisko, bliziutko i... dotknęła mojej twarzy ręką. Wrzasnąłem, zdaje się, przeraźliwie i zemdlałem. Służba hotelowa, która przybiegła mnie ratować, myślała pewnie, żem oszalał. I ty pewno w tej chwili myślisz to samo...

Niestety tak. Nie mówiłem tego głośno, ale wiedziałem, byłem pewien, że mój przyjaciel, Krzysztof Leman, chluba polskiej młodej literatury, oszalał. Nie bałem się go jednak. Silniej tylko ścisnąłem dłoń jego w mojej. Kochałem go przecież.

— ...i tak już było ciągle. Co parę dni, w nieregularnych odstępach czasu, przychodzi-

(ciąg dalszy na stronie 12-tej,



Na szczycie schodów wiodących z hallu do pokoju stanęła Renata...

POD PEŁNYM ŻAGLEM...

Amerykański jacht wyścigowy „Yankee" podczas regat w Coves (Anglja). — Fot. Scherl. →



(Ciąg dalszy ze str. 10-ej).
ła nocami z tą świecą i z żółtemi włosami i tkliwym uśmiechem. Mdlałem wtedy z obłąkanym okrzykiem na ustach i zbiegali się ludzie. Zaczęło mnie coś gnać po świecie. Głupio i naiwnie łudziłem się, że ucieknę przed nią. Naturalnie o żadnej pracy nie mogło być mowy. Myślałem, że dalekość oceanu ochroni mnie przed widmem. Straciłem stypendjum. Nagryzmoliłem parę głupawych korespondencyj i zdobyłem nieco pieniędzy. Wyjechałem do Peru. Cudem znalazłem pracę na jakiejś polskiej farmie. Nie mogłem pracować. Nocami przychodziła do mnie moja straszliwa kochanka. Uciekłem. Byłem w Afryce — w Cap. Temi rękami, temi rękami, których małość i niezgrabność tak zawsze wyśmiewaliście, grzebałem za diamentami na kopalni sir Zacharowa. Renata nie zlękła się i caplandzkiego skwaru, ni diamentowego trudu. Przychodziła do mnie. W Bombaju odnalazłem znajomego — był wicekonsulem Rzeczypospolitej. Dostałem nędzną posadę w biurach konsulatu. Nie wytrzymałem. Ona przyszła za mną. Musiałem gnać dalej. Zbiegłem całe Chiny, gnany przez widmo, byłem kulisem, żołnierzem, faktorem... Wreszcie zostałem tłumaczem u tego starego złodzieja, który mnie tutaj żywi... A ona przychodzi, wciąż przychodzi i czuję, że niedługo już znowu gdzieś stąd zemknę. Może na Syberję, a może na Alaskę. Tam zimno, może nie zechce tam za mną przyjść — kończył z straszliwym uśmiechem. Szał już zupełnie wyraźnie czaił się w kącikach jego źrenic.

Cóż mogłem powiedzieć biednemu Krzysztofowi. Siedziałem w milczeniu, gdy on nagle wybuchnął:

— Za co, Boże mój, za co?... Przecieżem jej nic nie uczynił. Nic, nic... Przecież jej nie skrzywdziłem, przecież ona sama... Czego mnie dręczysz? Renato, Renato...

W tej chwili posłyszałem rumor jakiś w kurytarzu. To go uspokoiło. Byłem pewien, że uda mi się wyleczyć go z halucynacji i zabrać z sobą do kraju, tak był posłuszny i uległy. Jak dziecko. Nagle... zerwał się z powiększonemi w przerażeniu oczami, wykrzywił usta zbielałe i zaczął głucho jęczeć. Zakrzywiony palec pokazywał w kierunku drzwi.

Spojrzałem i... przestałem wierzyć w swój zdrowy umysł.

Od drzwi zbliżała się Renata. Tak, tak, pamiętałem ją przecież dobrze, jej żółte włosy i dziwaczny uśmiech, jej brązową sukienkę, którą specjalnie lubiła. Strach zdławił mi oddech. Byłem bliski duszenia się. Mimo to zebrałem ostatki sił i podniosłem się z krzesła na spotkanie zbliżającego się widma. Usłyszałem straszliwy krzyk Krzysztofa i stuk padającego na podłogę ciała. Zjawa Renaty rozwiała się w mroku pokoju.

Szybko znalazłem właściwe wytłumaczenie. Uległem psychozie, wytworzonej opowiadaniem Krzysztofa. Przecież służba herbaciarni, którą indagowałem, nie widziała żadnej kobiety o żółtych włosach z ogarkiem świecy w ręku. W duchy nie wierzę z zasady. Chciałem wyciągnąć Krzysztofa ze sobą, zabrać go do swojego hotelu. Cieszył się jak dziecko. Przez dwie godziny układaliśmy plany życiowe. Obiecywał sobie zabrać się znowu do pisania — tyle przecież miał tematów. Uspokoiłem go niemal już zupełnie. Czuł się pod moją opieką bezpieczny nawet przed widmem Renaty. Prosił tylko, żebym go zostawił jeszcze jeden dzień w brudnym chińskim pensjonacie. Musi przecież załatwić wszystko, związane z jego dotychczasowem „stanowiskiem".

Tego ranka wróciłem później niż zwykle do hotelu. Musiałem załatwić jeszcze coś w biurze okrętowem i dlatego nie mogłem wypocząć. Zrobiłem to dopiero popołudniu. Późnym wieczorem, zamierzałem wybrać się do chińskiej dzielnicy po Lemana.

Obudziłem się o dziewiątej. Byłem zaledwie w połowie ubrany, kiedy czysty służący hotelowy z niesmakiem wprowadził do mojego pokoju najbrudniejszego, jakiego w świecie widziałem Chińczyka. Nie mówił nic lecz przeczucie ścisnęło moje serce. Tego samego Chińczyka widziałem wczoraj w herbaciarni Krzysztofa. Nie myliłem się. Kiedy przyszedłem naprędce ubrany za swoim przewodnikiem do pensjonatu — Krzysztof Leman konał. Był przy nim rozkładający ręce lekarz i paru obojętnych policjantów. W piersi miał niedużą ranę. Lekarz pokazał mi leżący na stole nóż do rozcinania książek, piękny nóż w srebrnej oprawie. Zapytałem: „Kto?" — Policjanci i lekarz ruszyli ramionami. Nie wiadomo. Nikogo nie było. Pewnie sam. Zbliżyłem się do konającego. Żył jeszcze. Kurczem ostatnich sił chwycił moją rękę i przyciągnął moją twarz do swoich szepcących ust. Mówił:

— ...ona przyszła...

Nie wymówił ani słowa więcej. Zająłem się pogrzebem. Spoczął mój biedny Krzysztof na prześlicznym cmentarzu katolickim w Szanghaju. Chciałem zabrać na pamiątkę skrwawiony, srebrny nóż, który mu śmierć przyniósł. Napróżno go szukałem... Prawdopodobnie skradł go któryś z Chińczyków. Po tygodniu byłem już na morzu a po dwu tygodniach informowałem zasmuconych przyjaciół w kraju o śmierci Krzysztofa. Pytałem się również o Girardów. „Są, są — odpowiadano mi — mają nawet ślicznego jednorocznego synka". „A Renata?" — pytałem. „Jest wciąż ta sama — dużo mówi, uśmiecha się „metafizycznie" i nie ufarbowała sobie żółtych włosów".

Postanowiłem więc odwiedzić Girardów. Mieszkali tam gdzie przedtem. Drżałem nieco mimo silnych nerwów, wchodząc przez furtkę do ogrodu. Temi ścieżkami — myślałem sobie — on, Krzysztof szedł w otchłań. A teraz tam, w Szanghaju... Eh... — Byłem już opanowany kiedy rozpocząłem rozmowę z Renatą Girardową. Pokazała mi swojego bobaska.

Nagle spokój mnie opuścił... Zacząłem się trząść jak osika. Drżącym palcem pokazałem na biureczko Renaty, zasiane uroczemi gracikami.

— Skąd pani to ma — zapytałem, krztusząc się.

Popatrzyła na mnie zdziwiona.

— Dostałam od Bolka po urodzeniu naszego syneczka. Ale co się z panem dzieje, panie inżynierze?

Nie odpowiedziałem. Nie mogłem odpowiedzieć. Na biurku leżał srebrny nóż do rozcinania książek — ten z Szanghaju... Rdzawe plamy lśniły na jego ostrzu.

KONIEC.

PRZYRODA UCZY NAS FORM ARCHITEKTONICZNYCH.



Nieraz podziwiamy piękne architektoniczne formy i linje w budownictwie. Obserwując różne, rozsiane po świecie wspaniałe budowle — odnosimy się z pełnym uszanowaniem do człowieka, jego pracy owocnej w doskonałe rezultaty i ducha twórczego, który poprzez wieki kierował jego ręką.

Cały jednak podziw — ustępuje miejsca zdumieniu, kiedy poznamy dzieła przyrody, kiedy podpatrzymy jej tajemnice i pomyślimy o niespożytej energji z jaką tworzyła swe twory w odmianach i gatunkach niedających się zliczyć.

Oglądając dzieła natury z bliska, nie zgubione wśród parków i łąk łatwo nabrać słusznego zresztą przekonania, że to nie człowiek, ale przyroda jest tym zdu-

Wspaniałe arabeski zdobiące Pałac Dożów w Wenecji — naśladują niewątpliwie bardzo dokładnie uschnięte liście rośliny zwanej „Dipsacus lacimiatus".







U góry: Wieżyczka i ozdoby dachu meczetu Jami Masjid w Delhi — przypominają kształtem roślinę „phacelia tanavetifolia”.





Na lewo i u góry w kole: Zwinięte listki rośliny „adiantum pedatum” były zapewne pierwowzorem złotego pastorału, zaprojektowanego przed wiekami przez artystę złotnika

miewającym budowniczym, pełnym pomysłowości, fantazji.

Przypatrzmy się dźbłu trawy, wiotkiej paproci, kłosom ciężkim od ziarna, kielichom kwiatów.

Przed nami staje otworem — nieznany dotąd, jakże wspaniały świat—pełen nowych, pięknych i nieznanych form o szlachetnej giętkości — subtelnej, rozwijającej się miękko konstrukcji, którą kieruje wszechwładna logika.

Podobną strukturę jak ta, którą podziwiamy w chińskiej pagodzie — posiada najzwyklejsze źdźbło trawy. W kiściach kwiecia pewnego gatunku trawy odnajdujemy szlachetne kształty wspaniałych kolumn, kopuł czy wież egzotycznego budownictwa.

Gotyk ze swą smukłością, wykrojem okien, ornamentyką i żebrowaniem sklepień nasuwa równie bardzo wiele porównań ze światem roślin.

Złoty pastorał biskupi, to nic innego jak powiększona kopja drobnych listków pewnej rośliny wodnej, rozwijającej się spiralnie.

Tych kilka zebranych tu fotografij potwierdzi zapewne przypuszczenie, że odwieczna twórczość przyrody ma decydujący wpływ na rozwój sztuki wszystkich narodów — wszystkich czasów.





Zagmatwane ornamenty wschodnie i ozdoby arabskiego budownictwa są zbliżone kształtem do „Salvia aethiopis”.



Wielka świątynia przy pałacu królewskim w Bangkoku, cud architektury Sjamu — również znajduje odpowiednik w świecie roślinnym.







Na prawo i na prawo u góry: Wspaniała pagoda w Pekinie zawdzięcza najprawdopodobniej swe proporcje studjom rośliny zwanej „Equisetum maximum”

A kiedy jestem Mefistofelesem...

Napisał: FIODOR SZALJAPIN.



Słynny śpiewak rosyjski Fiodor Szaljapin w roli Don Kiszota, w filmie dźwiękowym, który mu przysporzył nowych laurów.

Gdy jako śpiewak i aktor przystępuję do ukształtowania roli Mefistofelesa, mam zwykle w tekście bardzo mało wskazówek reżyserskich, w jaki sposób ożywić twór poety. Także Goethe w swoim „Fauście" określa bardzo skąpo postać Mefistofelesa. Pióro na kapeluszu, miecz przy boku — ależ to są tylko drobne cechy zewnętrzne! Niepodobna wykoncypować z tych danych, jak ma wyglądać żywa, rzeczywista postać. I oto tak aktor, jak i śpiewak musi stać się rzeźbiarzem, musi wydobywać dłutem swego talentu kreację Mefistofelesa z głębi własnego ducha i z tych skąpych wskazówek, udzielonych przez poetę w tekście samej roli. Okazuje się bardzo szybko, jakiej indywidualizacji ulega realne zjawisko, stworzone przez aktora.

Jak wyobrażam sobie Mefistofelesa? Przedewszystkiem djabeł ten jest wcale miły i posiada dużo wspólnych cech z owym klasycznym półbogiem ognia lub też z owym uwodzicielskim duchem radości życia, którego widział Gabrjel d'Annunzio przy studni w Sancta Clara, Anatol France w starych legendach, a z którego Strindberg uczynił główny motyw zwycięstwa dobra. Niewątpliwie fałszywą jest interpretacja Mefistofelesa jako uosobienia zła i ciemnych cech natury ludzkiej, zaś Fausta jako uosobienia dobra i światła. Mefistofeles reprezentuje w sobie cechy ziemskie, cechy ciążące ku prawdom ludzkim. Nawet w modlitwie Małgorzaty wyczuwamy ponury głos ziemskich namiętności. W Rosji, gdzie swego czasu miałem reżyserować „Fausta", zamierzałem ująć postać Mefistofelesa wogóle jako część przyziemną ducha Fausta. Wyobrażałem sobie, że Mefistofeles musi już wówczas znajdować się w pokoju uczonego, gdy Faust się tam zjawia.

Z ziemskich tęsknot Fausta wyrasta nie jako istota Mefistofelesa. Rysy jego ukazują się coraz wyraźniej, jakgdyby szereg ciemnych zasłon spadało jedna po drugiej, podobnie jak świadomość ustępuje instynktowi. Faust nie jest bynajmniej zdziwiony i wcale się nie boi Mefistofelesa, który na raz przed nim się zjawia. Był on przecież tutaj już wcześniej, od wieków, zawsze w duszy Fausta. Teraz zaś występuje przed nim jakgdyby na dane hasło, które podaje jego tęsknota ziemska. Zupełnie jakgdyby jeden człowiek oddzielał się od istoty drugiego, a raczej odrywał się od siebie samego. Naturalnie zjawisko to jest fantastyczne w ujęciu i fantastyczne w interpretacji. — Nie zapominajmy jednak, że poeta chce przedstawić dualizm natury ludzkiej, dwie istoty w jednej. Musi to jednak mieć pozory realistyczne. Tak przynajmniej ja to rozumiem. Faust i Mefisto razem, to dopiero pełny człowiek. W ten sposób ucieleśniano postać Mefistofelesa.



Szaljapin — Don Kiszot w walce z wiatrakami.

No tak, nie ulega wątpliwości, że można interpretować operę z pełnym realizmem. Trzeba jednak czerpać jaknajwięcej z własnej indywidualności i łączyć takie ujęcie z fantastycznością, która musi jednak dominować w kreacji, jak zresztą w życiu ludzkiem fantazja dominuje nad rzeczywistością. Czyżby w losie człowieczym nie było niczego djabolicznego? Dlaczegoż cechy te nie mają wystąpić w całej pełni i blasku w operze?

Sama istota opery nie daje okazji do uplastycznienia realnej, życiowej konstrukcji dzieła. Harmonja muzyki i słowa, podniesienie tych dwóch czynników do najwyższej potęgi dramatycznej, nie jest dotychczas dziełem dokonanem, a przynajmniej nie udało się to tak, aby można było widzieć w operze prawdę życiową. Ryszard Wagner, któremu powiodło się niewątpliwie jednolite sharmonizowanie tonów i słowa, nie był



Szaljapin prowadzi swą córkę Maszę do ślubu z inż. Danielem Gardner w Paryżu.

bynajmniej realistą. Tak w swych dążeniach, jak w temacie i charakterystyce osób pozostał romantykiem, co widzimy najwyraźniej w epilogu opery „Parsival". Nie przemawia przezemnie bynajmniej patrjotyczny szowinizm, jeżeli twierdzę, że najwymowniejszym przykładem realistycznej twórczości operowej jest Rosjanin Mussorgski. Nie widzę dorównującego mu pod tym względem twórcy ani przed nim, ani po nim. Dramatyczny czynnik jego opery jest nagą prawdą życiową. Nietylko zlewa się w jego dziełach dźwięk i słowo w jedną harmonijną całość, ale tony muzyki i treść słowa obracają się dookoła realnej rzeczywistości. Chwalono mnie za interpretację Borysa Godunowa, podkreślając prawdziwe, porywające odtworzenie roli tytułowej. Krytycy sądzą, że tylko mojemu podejściu do roli przypisać należy cechy żywotne tej postaci. Ale to nieprawda. „Borys Godunow" jest operą, w której każda rola jest w jednakim stopniu żywotna i prawdziwa. Odnosi się to tak do muzyki, jak i do słów, do struktury całej akcji. — Którąkolwiek rolę zagrałbym w tej operze, mógłbym z niej uczynić żywą i prawdziwą kreację pierwszoplanową. — Mussorgski umiał tchnąć prawdziwe życie w postaci swej opery bez różnicy i bez względu na ważność roli.

Istnieją dwie drogi do osiągnięcia realizmu w operze. Jedna musi być wytknięta przez kompozytora w zupełnem uzależnieniu od dzieła poety. Takie opery są bardzo nieliczne. Jak już zaznaczyłem, nie znam prócz dzieł Mussorgskiego żadnej opery, któraby mogła pretendować do prawdziwego realizmu z woli kompozytora i autora. — Druga droga jest wytknięta przez odtwórców i reżysera, który jako artysta musi zamienić się w rzeźbiarza i stworzyć prawdziwe postacie, czerpiąc realizm z własnej jaźni.

Jak pojmuję prawdziwy realizm w operze? Nie muszą przyczyniać się do tego kulisy i dekoracje. Nawet kostjumy nie zdołają przyczynić się do uczynienia zrozumiałej postaci. — Twierdzę także, że i scena jest w tym wypadku zbyteczna. Pieśń odśpiewana na estradzie sali koncertowej, powinna być odtworzona z tym samym realizmem i prawdą, co ujęta w roli, jeżeli ma być zaliczona do prawdziwej sztuki. Borys Godunow i Mefistofeles mogą stać się żywemi postaciami także na estradzie. Jak należy tego dokonać, a raczej jak powinno się do tego dążyć? Zapomocą zupełnie prymitywnych środków. Trzeba pamiętać o istocie prawdy. Gdy śpiewam pieśń, interpretującą djalog pokojówki paryskiej ze strażakiem, muszę wywołać u publiczności wrażenie, że ma przed sobą żywą pokojówkę i strażaka, że słyszy tę parę i widzi ją, t. zn., że publiczność daje się zasugerować temu, co śpiewam i co chcę przedstawić. Tak samo muszę w ten sposób wykonać pieśń miłosną, aby publiczność odczuła wraz ze mną całą głębię wyrażonego uczucia. Romans odśpiewany powinien rozegrać się przed oczyma widzów. Muszę patrzeć na to przeżycie własnemi oczyma, słyszeć je własnemi uszyma. Często mówi się o brutalnych czy też groteskowych metodach scenicznych, użytych dla osiągnięcia tego efektu. Czyż jednak nie powiedzieli tego już dawno poeci, że wszystko, co jest dramatyczne, jest zarazem teatralne? A pieśń dramatyczna działa wówczas na publiczność, gdy jest scenicznie podana z estrady. Dla osiągnięcia realistycznego efektu w sztuce należy kierować się jedną tylko zasadą: ukazać całą nagość życia, prawdę życiową i prawdziwe życie. Rozmaite metody służą do tego celu, lecz muszą być jaknajprostsze i najbezpośredniejsze. Zawsze jednak sztuka powinna być ujawnieniem życia, dramatyczną prawdą, odtworzoną żywą interpretacją. — Niechaj w widzu utrwali się przekonanie, że był świadkiem ilustracji życia, realizacji istotnej prawdy.

Tego wymagamy od sztuki. — A sztuka działa tylko wówczas, gdy jest pojęta jako gra na wyobraźni widzów. Jeżeli ma działać jako bezpośrednia prawda, musi pozostawać w stałym kontakcie z otoczeniem.

Ciekawą jest obserwacja np. misterjów średniowiecznych, będących po części poprzednikami dzisiejszego teatru, które ujmowały występujące tam postacie w sposób nad wyraz realny, budząc u widzów szczere zrozumienie sytuacji.

Poniżej: Oto tak wygląda Szaljapin w roli Mefistofelesa w operze Gounaud'a.



Na prawo i poniżej: Genjalny śpiewak w masce scenicznej i w życiu codziennem.





KANKAN



Wczesną wiosną siedziałem pewnego razu w poznańskiej kawiarni „Esplanade", słuchając muzyki i rozmyślając nad tematami, które ta lub inna melodja przywodziła mi na pamięć. Lubię takie gonienie w gwarze kawiarnianym za „niebieskiemi migdałami". Rozmowy ludzkie, których słów nie rozumiem, a które dochodzą do mnie jedynie w postaci gwaru, śmiechy raz po raz dające się słyszeć, stukanie łyżkami o filiżanki, wszystko otulone jakby przewiewnym, jedwabnym szałem w postaci dymu tytoniowego — tworzy atmosferę pewnej błogości wielkomiejskiej, w której można dużo powiedzieć milcząc, a równocześnie prowadząc ze samym sobą wewnętrzną pogawędkę.

A przytem nie trudno jest, siedząc w takiej dużej kawiarni w Warszawie, Poznaniu czy Krakowie wyobrazić sobie, że jest się w Paryżu, Wiedniu lub w Berlinie — tak lokale tego rodzaju i ich życie podobne są wszędzie do siebie. Podróżowanie w ten prosty i tani sposób, za jedne „pół czarnej" jest w dzisiejszych ciężkich czasach bezwątpienia wynalazkiem godnym uwagi.

Właśnie kapelmistrz orkiestry Dorian, ucharakteryzowany wtedy na rosyjskiego studenta, z długiemi włosami, bródką i okularami, które nadawały mu wyraz bardzo tajemniczy, wziął w rękę pałeczkę i jak zwykle, ruszając się nadzwyczajnie żywo, rozpętywał tony w swej orkiestrze, rozpoczynając śpiewny walc z „Wesołej wdówki".

Najzupełniej rozumiem zwierzęta, które pod wpływem czarownych tonów gry Orfeusza łagodniały, chowały swe pazury i w zadumaniu i błogiem rozmarzeniu słuchały mistrza. Muzyka, to przecież najstarszy język ludzkiego serca, rozporządzający tak bogatym alfabetem, jakiego nigdzie indziej nie znajdziesz. Słysząc melodje Franciszka Lehara stanęły mi żywo w oczach czasy przedwojenne, tak niebywale odległe, tak odmienne, takie piękne pod pewnemi względami.

Na Champs Elysées mknęły eleganckie powozy, w których siedziały piękne kobiety o olbrzymich kapeluszach, długich sukniach — służących nietylko do przystrojenia pięknych kształtów, lecz także z powodzeniem do... zmiatania ulic trenem. W Wiedniu na Praterze, o pewnych godzinach — sznur eleganckich ekwipaży obwoził wszystko, co budziło zainteresowanie ówczesnej „Kaiser Stadt". Girardi, Hansi Niese, arcyksiążę Otton, hr. Adalbert Sternberg, znany ze swych przygód w parlamencie i salonach wiedeńskich, i tyle innych osobistości defilowało tam przed przechodniami. To samo działo się mniej więcej w Warszawie, chwalącej się swemi pięknościami w Alejach Ujazdowskich, a również i inne miasta polskie, zapominając na chwilę o swoich kłopotach życiowych, o rosyjskiem garadawoju i pruskiej pikelhaubie, urozmaicały sobie życie jak mogły.

Huczne brawa nagrodziły walczyka, który rozpętał w słuchaczach różne wspomnienia, jeżeli nie osobiste, to zasłyszane od poprzedniej generacji, a przytem wzbudził w nich pewną niefrasobliwość, o jaką dzisiaj tak trudno.

Lecz wkrótce znów usłyszeliśmy piosenkę przedwojenną, uchodzącą w swoim czasie za rodzaj symbolu zabawy. — Przypomniałem sobie przygody paryskie księcia Daniła z „Wesołej wdówki", jego „wycieczki" do „Maxima" i ten cały nastrój, mający w sobie tyle uroku. Były to przecież „historyczne" czasy „kankana", lata 1900 do 1905. Taniec ten, uchodzący naówczas za szczyt swobody i klasyczny „shocking", robił zdobywczą ekspedycję po całej Europie, wzbudzając wszędzie zachwyt i... oburzenie. Przyciszonym głosem pensjonarki ówczesne gwarzyły sobie o tych strasznościach, które działy się w kabarecie „Maxim", lub w „Moulin Rouge", ojcowie rodzin załamywali ręce nad zepsuciem współczesnem i... chyłkiem chodzili na przedstawienia. Szereg objawów w początkach XX wieku kazało sądzić, że zaczyna się jakiś nowy renesans, oparty już nie tyle o walory czysto psychiczne, jak o nowe wartości, które w życie wniósł rozwijający się błyskawicznie przemysł, nowe wynalazki, udogodnienia codziennego życia itd.

Jak każda nowa epoka, tak spoczątku XX wiek występował bardzo agresywnie wobec przeszłości, przyznając sobie zupełną wyższość nad nią, burząc tak w sztuce (secesja), jak też w ustroju socjalnym (sufrażystki), a w końcu też w ustroju politycznym świata (trybunał w Hadze) to wszystko, co dotychczas obowiązywało i tworząc nowy porządek rzeczy. Wiek XX rozpoczął też swój pochód triumfalny krokiem tanecznym. Jak się to nieraz zdarza w historji ludzkości, zapomniano o dotychczasowych troskach, łudząc się nadzieją stworzenia raju na ziemi. Dzisiaj „raj" ten przekazany został do lamusa, zdobycze ówczesne okazały się mniej wartościowemi jak przypuszczano, secesję wyklęto z przybytków artystycznych, trybunał w Hadze wiedzie suchotniczy żywot wraz ze swoją pierworodną córką Ligą Narodów, a jedynie kankan budzi jeszcze zainteresowanie i oklaski jako... zabytek. Wznowiono go ostatnio w paryskim kabarecie „Tabarin" na ulicy Victor-Massé z całym przepychem, jaki daje ten kabaret, ale też z całym „smaczkiem", nadającym obrazom wielką sugestywność.

Niestety kankan, 30 lat temu tak bardzo wyuzdany, dzisiaj przypomina raczej starą kokietkę, nęcącą jeszcze sztuczkami, któremi maskuje swój wiek. Niemniej jednak jest on w wykonaniu pięknych girlsów paryskich niezwykle uroczy i daje widzom dreszczyk... wspomnienia.

J. Godziemba.



Katarzyna de Mille, znana artystka występująca wraz z Clarkiem Gablem w filmie, rozgrywającym się w czasach, kiedy kankan święcił triumfy.



Wielką sensacją artystycznego świata Londynu było przybycie zespołu girlsów francuskich które w „Savoyu" występami swemi wznowiły dawno zapomniany taniec.



Zespół paryskich tancerek, wykonywujący nadwyraz trudne figury kankana.



Jedna z artystek „kankanowych" w swej popisowej roli.



Tancerki z początku XX w. odznaczały się kokieterją i strojem, który dzisiaj wydałby się śmiesznym anachronizmem.



Bohaterka filmu „Dama od Maxima" odznacza się nietylko urodą, ale też oryginalną suknią i ozdobnemi pończochami.



Niezwykła figura taneczna kankana, która wymaga wielkich zdolności gimnastycznych.



Kankan na deskach paryskiego kabaretu „Tabarin".

Nasz przebój muzyczny.



Jabym chciała się zapomnieć...

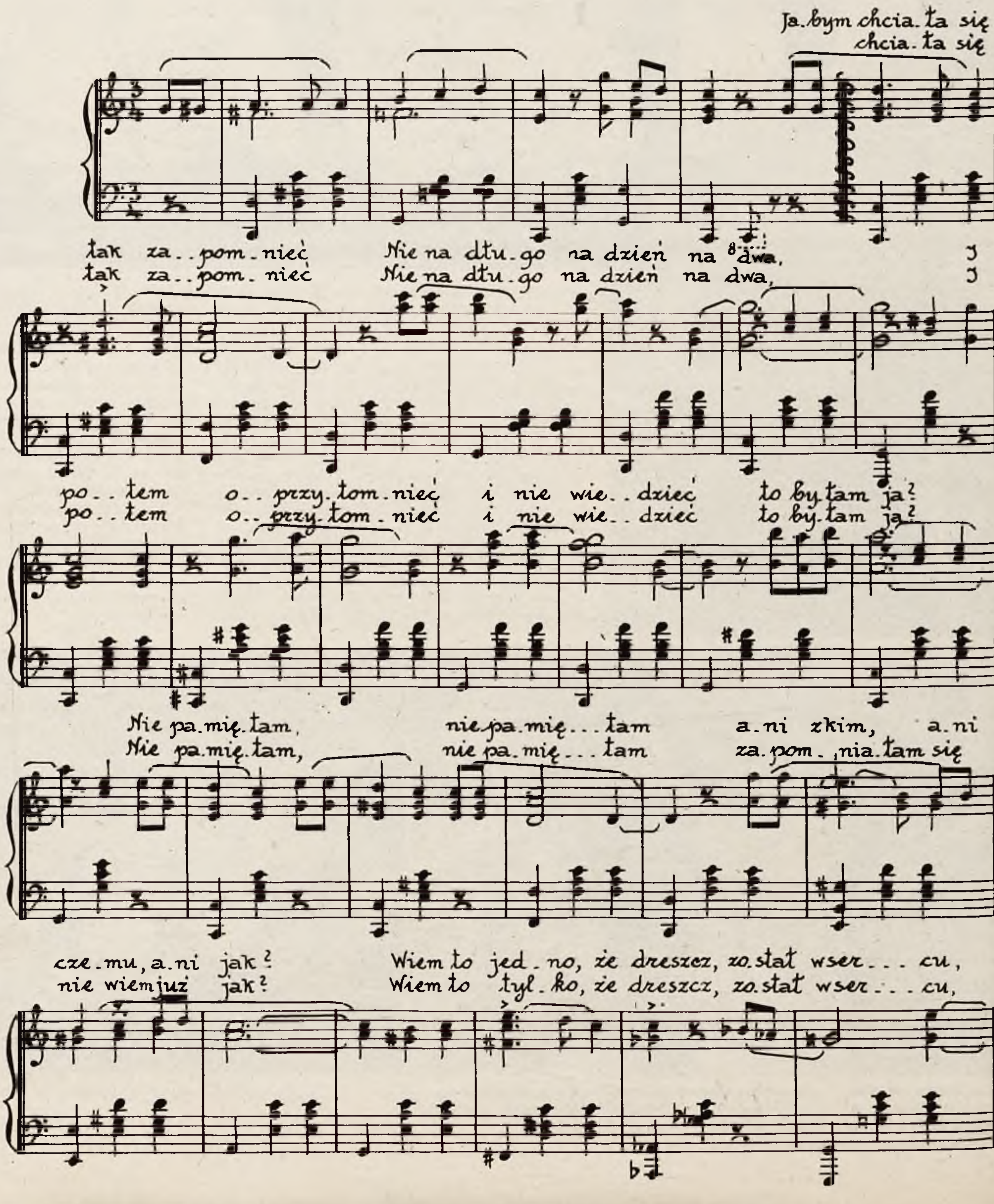
Walc angielski.



Słowa: Marjana Hemara.

Muzyka: Zygmunta Wiehlera.



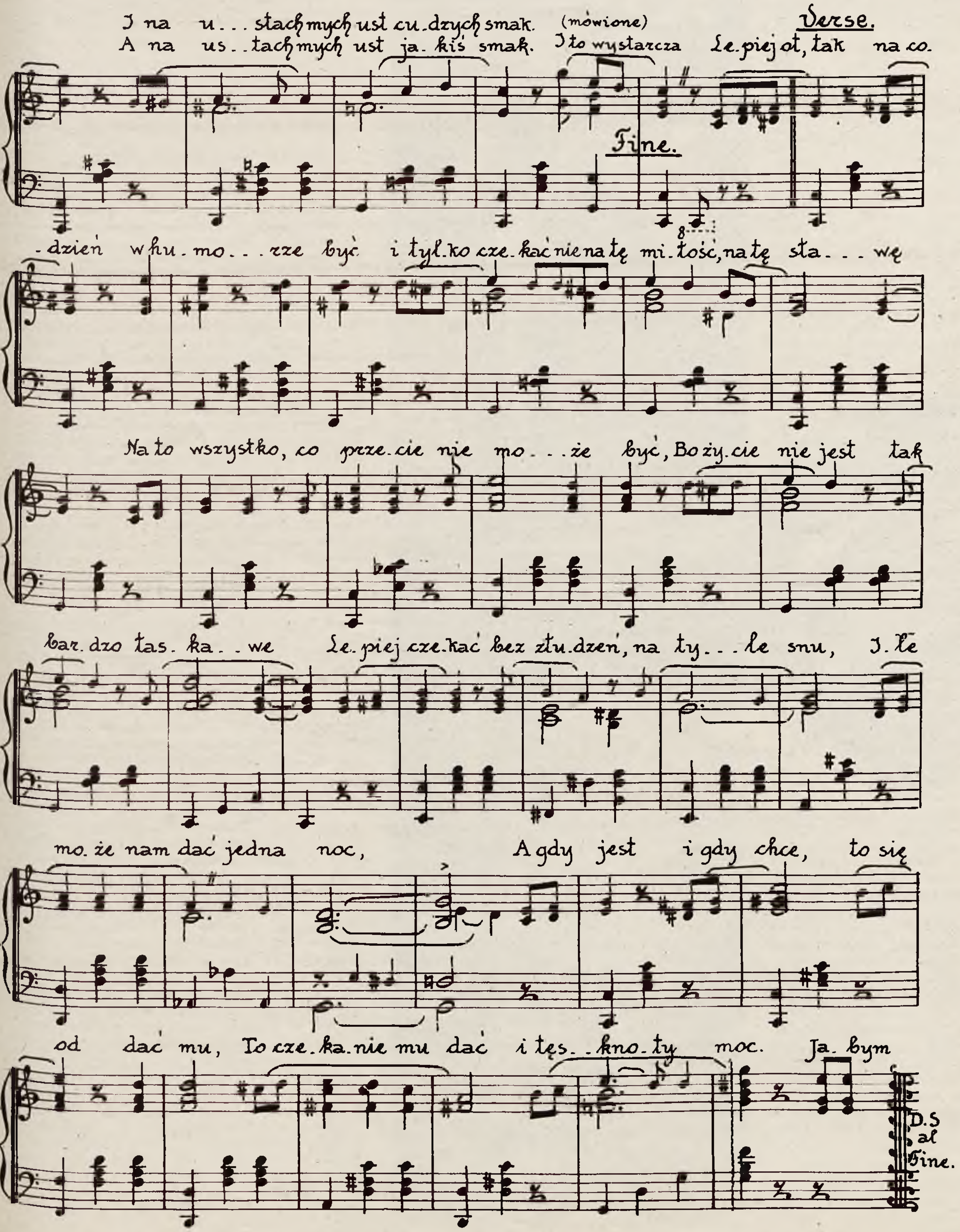


Dzisiejszy nasz przebój, walc angielski „Ja bym chciała się zapomnieć" napisał Zygmunt Wiehler, a słowa Marjan Hemar.

Piosenki Hemara wyróżniaja się wśród ogromnej masy utworów tego typu doskonałą formą i zwarciem z tekstem muzycznym. Sa szlachetne w stylu i formie. Każda z nich ma swój głębszy sens. Nigdy się nie zdarza, żeby jak w wielu innych utworach tego rodzaju był to tylko zręczny zlepek nic nie mówiących określeń i frazesów. Dlatego piosenki Hemara są tak popularne, a ich refreny i trafne określenia tak często awansują na potoczne „bon mot".

Zygmunt Wiehler jest muzykiem znanym i cenionym od lat wielu. Rozpoczął komponować niemal w dzieciństwie. Jeden z pierwszych jego utworów: „Na falach łódź" był włączony do ilustracji muzycznej „Kupca Weneckiego", wystawionego w teatrze krakowskim za dyrekcji Solskiego. Mało kto wie, że to on jest autorem popularnych piosenek legjonowych, a m. „Trębacza" i „Zjechali do wsi ułani..." Przed wojną Wiehler był kapelmistrzem w teatrze Majdrowicza w Sosnowcu, później kapelmistrzował w operze poznańskiej za dyrekcji Szczurkiewicza i w operetce Pilarskiego w Krakowie. Wojna zastała go w Warszawie, skąd wysłany w głąb Rosji, pracował w rozmaitych teatrach rosyjskich, a następnie przed powrotem do kraju, także i w bułgarskich. Od 1921 roku pracuje nieprzerwanie w Warszawie, gdzie rozpoczął od „Wodewilu" i „Qui pro quo" Obecnie jest kapelmistrzem „Starej Bandy". W tej chwili bawi na występach gościnnych w Niemczech, gdzie występuje balet Parnella. Wiehler został tam zaproszony do prowadzenia orkiestry, jako autor pięciu doskonałych numerów baletowych: „Umarł, Maciek, umarł", „Konik Zwierzyniecki", „Wesele Łowickie", „Roztańczona baba" „Zmysły" i „Praca".

Walc angielski, który dziś drukujemy w „Asie" śpiewała w Warszawie p. Tola Mankiewiczówna i odniosła w niej wielki sukces.





DWIE ARGENTYNY.

ST. ODYNIEC.

Buenos Aires.

W epoce kolonjalnej ludność europejska napływała do Argentyny (wówczas gubernatorstwa Rio de la Plata) nie drogą morską, jak Bóg przykazał, przez Buenos Aires, tylko lądem, opłotkami poprzez góry Kordyljerów, ciągnąc w te strony z Peru karawanami lam i mułów.

Buenos Aires znajdowało się w dziwnej sytuacji: było niby portem, ale nie wolno mu było prowadzić bezpośrednio handlu zamorskiego. Jeżeli pomimo to udawało mu się go w pewnej mierze utrzymać, to tylko poza plecami władz celnych, drogą kontrabandy. Zarazem, również drogą kontrabandy szmuglowała się doń z tej strony imigracja europejska.

Ten stan rzeczy spowodowany był nienormalnemi warunkami, w jakich się rozwijał handel wymienny pomiędzy Europą a posiadłościami hiszpańskiemi w Ameryce. Przedewszystkiem do portów amerykańskich nie miał dostępu żaden okręt, nie płynący pod banderą hiszpańską. Ponieważ w owych czasach Ocean roił się od korsarzy, wyznaczona została jedna tylko droga, wiodąca z Hiszpanji do Ameryki Środkowej, której obronę była w stanie prowadzić dość skutecznie „Wielka Armada" Jego Królewsko-Katolickiej Mości.



Typ farmera argentyńskiego z departamentu Santa Maria.

Oczywiście, że Buenos Aires, położone na dalekiem południu, o tysiące kilometrów od drogi, nie mogło ani marzyć o możności prowadzenia racjonalnego handlu zamorskiego.

Towary, które otrzymywało, przybywały doń długą i uciążliwą drogą: morzem z Hiszpanji do przesmyku panamskiego, tutaj lądem ku brzegom Pacyfiku, poczem przeładowane ponownie na okręty podążały wodą do Callao w Peru, stąd na grzbietach lam i mułów, niesione tysiące kilometrów karkołomnemi ścieżkami Kordyljerów, docierały do równin argentyńskich i wreszcie wozami, ciągnionemi przez woły po wielomiesięcznej podróży dostawały się do Buenos Aires.

Można sobie wyobrazić cenę tych towarów, jeżeli się obliczy koszta transportu tak niezwykłym traktem.



U góry: Charakterystyczny typ Indjanki z Argentyny, zajętej mieleniem kukurudzy na prymitywnym żarnie. — U dołu: Jedna z głównie,jszych ulic stolicy Argentyny, Buenos Aires, odznaczająca się pięknemi domami i wspaniałą perspektywą.



Nic dziwnego, że nad La Platą kwitnęła kontrabanda, przybierająca niebywałe rozmiary. Z jednej strony ludność szukała tańszych źródeł dla zaspakajania swych potrzeb, a z drugiej obconarodowe statki, nie będąc legalnie dopuszczone do handlu w portach dominjów hiszpańskich, zmuszone były uprawiać go na marginesie prawa.

Łącznie z kontrabandą towarową, przedostawał się tą samą drogą szmugiel ludzki. Cudzoziemcy, którym wstęp na ziemie hiszpańsko-amerykańskie był zasadniczo wzbroniony, przemycali się na nie okrętami kontrabandzistów. Tym sposobem zjawił się nad La Platą żywioł obcoplemienny, który rozchodząc się wgłąb kraju nakreślił nową marszrutę napływającej w te strony imigracji a mianowicie w kierunku od południa ku północy.

Ale gdy z północy na południe podążała fala imigracyjna, składająca się wyłącznie tylko z elementu hiszpańskiego, ta która szła w odwrotnym kierunku, posiadała charakter kosmopolityczny. W okresie kolonjalnym gros jej stanowili Portugalczycy, z niewielką domieszką Irlandczyków i Holendrów.

Naogół jednak ta kategorja imigracji liczebnie była nikła, wzmocniła się nieco w okresie Niepodległości (rok 1816), ale doszła do prawdziwie wielkich rozmiarów dopiero od czasu ogłoszenia konstytucji t. j. od r. 1854, kiedy bramy Argentyny zostały naoścież otwarte dla chcących się w niej osiedlić cudzoziemców i cała polityka wszystkich następujących po sobie rządów, streszczała się w słynnym aforyzmie znakomitego ekonomisty J. B. Alberdiego: „Gobernar es poblar" — „rządzić to zaludniać".

Od tego to czasu rozpoczęła się masowa imigracja do Argentyny europejczyków, którzy zmierzali ku niej i po niej się rozchodzili szlakami wytkniętemi przez owych pierwszych „szmuglowanych" imigrantów.

Te dwa zasadnicze kierunki napływu do Argentyny białej ludności, tłomaczą różnice etniczne, jakie nietrudno zaobserwować pomiędzy mieszkańcami jej północnych połaci, a tymi, którzy się osiedlili w jej środkowej części. Wówczas gdy ci pierwsi, hiszpańsko-kreolskiego pochodzenia, są w swej głównej masie rasowo jednolici, ci drudzy przedstawiają różnoplemienny konglomerat, aczkolwiek zlepiony wspólnością języka i interesów, to jednak nie przetopiony jeszcze etnicznie w jedną narodową całość.

To też mamy w Argentynie dwa kraje: jednym są jej północne prowincje, noszące na sobie wybitne piętno dawnych tradycji indohiszpańskich, drugim zaś ta nowoczesna jej część, której środkiem ciężkości Stolica Federalna Buenos Aires. Kosmopolityczna stolica, różnojęzyczna, zmodernizowana, zabudowana we wszystkich możliwych stylach architektonicznych z wyjątkiem kolonjalnego, na której ulicach spotkać można przedstawicieli wszystkich ras kuli ziemskiej, ale najtrudniej natrafić na prawowitych kreoli, gdzie indjanina lub mieszańca indohiszpańskiego szukać należy w muzeum historycznem, gdzie gaucho jest już tylko drogocennym zabytkiem przeszłości, a muzyką ludową stało się obce tango, zawleczone tutaj z Kuby przez murzyńskich grajków.

(Ciąg dalszy na str. 22)

GWARDJA KRÓLA JEGOMOŚCI...

Zdjęcie z rewji przed pałacem Buckingham w Londynie w dniu 70-lecia urodzin króla Jerzego V. — Fot. Wide-World. →





Wśród fauny Argentyny zwracają uwagę pingwiny, które nader liczne, można spotkać nad brzegami morza.

(Ciąg dalszy ze strony 20-tej)

W Buenos Aires zatarły się ślady tej dawnej Argentyny. Turysta lądujący, w niem po raz pierwszy woła zdumiony: „przecież to Europa, pokażcie mi Amerykę!" — Ale Ameryki w Buenos Aires niema. Jak jej niema w promieniu setek kilometrów od niej.

Pampasy?... Były. Zniknęły, jak starodawne bory na Kujawach; poprzecinane we wszystkich kierunkach plantami kolei żelaznych, szos i dróg bitych, rozparcelowane, zaludnione, usiane miasteczkami, miastami i osadami, przestały już być owym rozścielającym się w nieskończoność morzem traw stepowych, zamieniając się na zwyczajną równinę, podzieloną na pola, zorane pługiem, obsiane, lub zieleniejące odłogami pastwisk, na której drogi znaczą się rzędami strzyżonych drzew, a ich większe lub mniejsze kępy oznajmiają obecność sadyb ludzkich.

Pampasy?... tak jak Indjanie, jak tradycyjny gaucho, jak kreol odeszły do legendy, stały się abstrakcją, zwrotem retorycznym, używanym już tylko w poezji.

„Pampa" — po indyjsku „otwarte pole". Niema już dziś „otwartych" w Argentynie pól. Wszystkie są ogrodzone parkanami z drutów, nawet gdy mierzą sto tysięcy hektarów; w parkanach bywają bramy, ale szczelnie zamknięte. A jeżeli te pola są ogrodzone i zawsze zamknięte czyż mogą się nazywać „pampa", „pampasy"?... Wyrazy te w mowie potocznej stały się nieużytkiem, w dykcjonarzach-archaizmem nie mającym w nowoczesnym języku zastosowania.

Fauna i flora?... Importowana. Próżnobyś szukał okazów, stwierdzających, iż znajdujesz się na ziemi amerykańskiej. Tygrys i puma wywędrowały daleko na północ; musiałbyś przemierzyć półtora tysiąca kilometrów zanim byś się dostał w strony, gdzie jeszcze grasują. A przecież gdy w r. 1583 zostało założone miasto Buenos Aires, owa skromniutka pierwotna osada pod wezwaniem „Santa Maria de los Buenos Aires y el puerto de la Santissima Trinidad (port Najświętszej Trójcy), mający więcej liter w nazwie niż domów na swym terenie, przecież to wówczas władze municypalne najsurowiej zakazały mieszkańcom wydalać się w pojedynkę poza ostrokół miejski w obawie przed tygrysami i pumami, od których roiło się w okolicy.

A nandu, champion biegu pampasów, szybkonogi struś amerykański?... zamknięty w Zoologu ku podziwowi i uciesze miejskiej dzieciarni, a z nim razem przedstawiciele innych skrzydlatych i czworonożnych prawowitych dziedziców równin.

Dziś już tylko na tych nieprzemierzonych łjanosach spokojnie się pasą nieprzeliczone stada bydła rasowego z „pedigree": masywne Durhamy, Shorthorny, Herefordy, czarne bezrogie Aberdeen-Angusy, dojne Holenderki, szwajcarki lub Guernseye. Gdzieindziej ożywiają krajobraz liczne stadniny doskonale tu zaaklimatyzowanych Trakenów, Percheronów, Clydesdale'ów, Suffolków, Oldenburgów, Hunterów, Hackney'ów; a na innych znowu zagonach tłumnie się przechadzają olbrzymiemi stadami merynosy Lincolny, Romney Marshe, Leicestery lub czarnogłowe Hampshiredowny, Southdowny...

Współczesna środkowa Argentyna jest Europą, różniącą się od oryginału tylko skalą. Wszystko tu krajane na miarę olbrzymów. Estancje czyli majątki hodowlane, mierzone już nie na hektarzy tylko na legwy, a każda legwa to dwa i pół tysiąca hektarów. Bydło liczone nie na sztuki tylko w okrągłych cyfrach z dwoma zerami na końcu. Stado z pięćdziesięciu tysięcy głów, to średnia wielkość, a duża gdy sięga dwustu tysięcy. Podobnie z uprawną rolą, podzieloną na pola tysiąchektarowe.

Płody na nich nie tutejsze. Przyglądając się im, nie odgadłbyś, że znajdujesz się na ziemi amerykańskiej. Pszenica i inne zboża wyprowadzone są z nasion importowanych, to samo len, kukurydza i kartofle, aczkolwiek te dwa ostatnie ziemiopłody są pochodzenia amerykańskiego, to jednak tu się sieje lub sadzi te ich odmiany, które uszlachetniła i udoskonaliła europejska kultura rolna.

Nieinaczej się rzecz ma z drzewami. Plantacje miejskie i parki zdobią europejskie klony, jawory, akacje, australijskie eukaliptusy, azjatyckie sosny i cedry, afrykańskie palmy. Na wsi spotyka się gaje eukaliptusów lub iglastej kazuaryny, topoli i wierzb płaczących, ale nie zobaczysz dzikiego zagajnika miejscowej flory.

Ogrody owocowe zasiedlają brzoskwinie, jabłonie, gruszki, czereśnie, albo rodem z Południa pomarańcze, mandarynki, cytryny, winorośl i dziesiątki innych gatunków, których „flance" dostarczyły europejskie, australijskie lub kalifornijskie zakłady ogrodnicze.

Patrząc na to wszystko pytasz zdumiony: „alež to wszystko już znam, to jest to samo co w Europie. Ale gdzież się podziewa ta Argentyna amerykańska?"

Żeby ją odnaleźć, musisz się udać w podróż na północ. Tam dopiero odkryjesz tę prawdziwą Argentynę, tę dawną, zdobytą dla cywilizacji przez garść konkwistadorów i przez nich zaludnioną przybyszami z za morza, z Półwyspu, będącego ich własną kolebką. Tutaj pozakładali pierwsze osiedla praojcowie tych, którzy w dwieście pięćdziesiąt lat później mieli się stać kowalami Niepodległości i Wielkości tego kraju.

Na tych ziemiach zaciekle się broniły przed naporem białych zdobywców, Łczne plemiona indyjskie, którym wkończu uległy, zwyciężeni potęgą ducha a nie siłą oręża.

I dzisiaj, gdy się przejeżdża te okolice, dostrzega się na każdym kroku ślady historycznego procesu zespalania się dwuch tak odmiennych ras.

Wystarczy przejrzeć listę znakomitych obywateli rodów wywodzących się z Catamarca, La Rioja, Cordoby, Tucuman, Salta, Jujuy, Santiago del Estero, aby ich nazwiska, głośne w historji Hiszpanji, Kolonji i Republiki wywołały w wyobraźni wiekopomne postacie, czyny i wypadki dziejowe z czasów walk z Maurami, wojen krzyżowych, Konkisty, aż do chwil najnowszych.

Toponimja tych stron odsłania drugą stronę ich przeszłości — tę, której rdzeniem jest kultura indyjska. Nazwy miast, osad, zamieszkałych punktów, miejscowości, rzek — to język indyjski w codziennym użytku, w zastosowaniu do zmienionych potrzeb.

Jakżeż to wszystko odmienne od tego co się widzi w środkowej „kulturalnej" Argentynie, gdzie imiona ludzi nie są wymowniejsze od numerów a miejsca od tych, któremi się znaczy ludzi.

Ale nie tylko nazwy, człowiek sam jest na północy innym. Potomkowie dumnych hidalgów, w których żyłach płynie krew błękitna bez żadnej domieszki; lud kreolski o rozjaśnionej skórze za staraniem ich białych panów i wreszcie ciemnolicy spadkobiercy Indjan czystej krwi — oto wizerunek postaci, z którymi się stykamy na każdym kroku.

Dawne tradycje wśród nich nie straciły swych barw i żywości. Cnoty i przywary przodków trzymają się w formie pierwotnej. Otoczenie stwarza ramy podkreślające oryginalność obrazu. Architektura nosząca wybitne piętno sztuki kolonjalnej, przyroda w swej prawdziwej na tej ziemi poczętej postaci dają odrębnościom cech człowieka wśród nich wyrosłego, logiczne uzasadnienie, harmonijnie go wiążą z niemi w organiczną całość.

Północna Argentyna jeszcze żyje swem własnem odrębnem życiem.

Ale ta pierwsza Argentyna, nowoczesna kosmopolityczna, rośnie i pęcznieje, prąc na północ i zalewając powoli kawałek po kawałku starą, tradycjonalną. Postęp modernizacji tej ostatniej nieprzerwanie posuwa się naprzód i niedalekim jest czas gdy całkowicie straci ona swe dawne oblicze, przybierając nowe, bezwyrazowe, którego przykładów dostarcza dzisiejsza środkowa Argentyna.

A wtedy z dwóch Argentyn stanie się jedna i trzeba będzie czekać lat długich, aby w tym tyglu etnicznym wytopił się z różnolitych narodowych pierwiastków amalgamat nowej rasy.





U góry: Olbrzymie kaktusy stanowią na wsi argentyńskiej wspaniałą ozdobę o swoistym uroku. — U góry na prawo: Jeden z najbardziej historycznych placów w Buenos Aires, Plaza de Mayo posiadający wspaniałą staroświecką katedrę. — U dołu: Ciekawy okaz charakterystycznej flory Argentyny w postaci olbrzymiego kaktusa, znajdującego się na wysokości 3500 m.



KSIĄŻĘ z „trente-et-quarante"

Powieść Williama J. Makina. **16** Tłumaczenie autoryzowane Jana Maleszewskiego.

ILUSTROWAŁ J. M. BRZESKI

— Na pierwszem piętrze — informował Artur.

— Idźmy tam — zwrócił się jeden z detektywów do swych towarzyszy, postępując w kierunku schodów.

Gdy wysłannicy Scotland Yardu poczęli wchodzić na schody, Chesham wyszedł na ulicę wśród ludzi przechodzących tamtędy. Czarne auto Latającego Oddziału stało wzdłuż trotuaru. Nie patrząc się w stronę auta, Chesham spokojnie, lecz dosyć szybko szedł w kierunku Cyrku. Spodziewał się usłyszeć lada chwila strzał, odgłosy kroków i wydawało mu się prawie pewnem, że ucieczka jego skończy się niepowodzeniem.

Doszedł do rogu ulicy. Właśnie odjeżdżała taksówka, z której codopiero wysiadł pasażer. Chesham wyciągnął rękę w jej kierunku. Taksówkarz zauważywszy jego ruch przystanął, otwierając drzwiczki.

— Dokąd pan każe jechać, sir?

— Hm... Whitechapel — odrzekł Chesham, kierowany jakimś nagłym pomysłem.

Dzielnica, którą podał szoferowi była chyba ostatniem miejscem, gdzieby policja londyńska mogła szukać pretendenta do jednego z tronów Europy. W kilka minut później taksówka mknęła w podanym kierunku.

Udało mu się więc ujść rąk policji. Ale na jak długo? Był przecież człowiekiem, którego tropiła pod zarzutem zabójstwa.

Włożył rękę do kieszeni i wyjął z niej plik banknotów, jakoteż kartkę, którą otrzymał od Szefa. Przeliczył pieniądze: było tam 60 funtów szterl. Rzuciwszy okiem na papier, czytał: „Niech pan jedzie do Sea View Cottage, opuszczonego domu strażnika nadbrzeżnego w Dungeness. Znajdzie pan tam telefon schowany w kredensie, w pokoju jadalnym. Proszę zadzwonić jak tylko pan przybędzie na miejsce". Kartka nosiła podpis Marka Manna.

— Dungeness! — powtórzył kilkakrotnie Chesham. Przypomniał sobie opustoszałą okolicę, która w Anglji należała do najbardziej dzikich i ponurych. Młody człowiek wzdrygnął się na myśl o miejscu swego nowego pobytu.

Rozdział XXII.

Polowanie na człowieka.

Pan Samuel Lewinstein należał do najbardziej zdziwionych ludzi w Whitechapel: sprzedał właśnie auto. Nie było w tem oczywiście nic nadzwyczajnego. Sklep jego wychodzący na drogę Whitechapel zawierał szereg sprzętów, które nadają się do samochodów, większość ich zaś należała do typu tych rzeczy, jakie łatwo można ukraść w chwili, kiedy ich właściciel nie zwraca na nie uwagi.

I zupełnie przypadkowo Samuel Lewinstein sprzedał jedno auto. Sprzedanie właśnie tego samochodu uczyniło z niego najbardziej zdziwionego człowieka w całej okolicy. Sprzedał je bowiem o północy — w chwili, kiedy krążył po swoich składach, gasząc światła, aby zaoszczędzić sobie kosztów.

Mężczyzna, który kupił auto, ubrany był w strój wieczorowy.

— Prawdziwy gentleman, możecie mi wierzyć lub nie — opowiadał później pewnemu rozpytującemu się o te sprawy detektywowi. Mężczyzna we fraku zapłacił za auto banknotami kwotę 20 funtów.

— Moje auto było prawdziwem cackiem — rozwodził się szeroko, opowiadając o tej transakcji przedstawicielowi policji. Chcąc przełamać brutalny wręcz sceptycyzm detektywa, pokazał mu nawet brudną kartkę, która dopomogła do sprzedaży starego klekotu: „sprzedam to auto za 20 funtów szterlingów".

— I wziął, proszę pana to auto tak, jak czynią to dżentelmeni w wielkich składach samochodów, czy pan mi wierzy, czy nie! — Lewinstein opowiadał żywo, gestykulując i podkreślając w sposób niemal patetyczny wszystkie szczegóły, które miały uwypuklić całą transakcję.

Te i tym podobne informacje zbierał Scotland Yard celem wzbogacenia teki poświęconej zaginionemu księciu Korawji, Sergjuszowi Łobanowi, jako też tek zabójstwa w ambasadzie korawiańskiej.

Gdy Artur Chesham wysiadł z taksówki w Whitechapel, zobaczył stary wóz za cenę 20 funtów i trzymając się kartki Samuela Lewinsteina zapłacił reklamowaną cenę za auto, poczem odjechał niem. Przy tej sposobności odkrył, że było znacznie bardziej ekscytującem być człowiekiem, za którym tropi Scotland Yard pod zarzutem zabójstwa, niż księciem.

Pierwsza ciężka chwila przyszła na Artura, kiedy ujechawszy pewną przestrzeń zatrzymał się przy stacji benzynowej, aby napełnić bak. O jakieś kilkadziesiąt yardów od miejsca jego postoju znajdował się posterunek policji jasno i zapraszająco oświetlony. Czy nie byłoby najlepiej porzucić tę warjacką, nierealną awanturę, udać się poprostu na posterunek, poinformować urzędującego tam oficera, że jest Arturem Chesham, udającym księcia Korawji, Sergjusza Łobanowa i oświadczyć, że tegoż wieczora zastrzelono w ambasadzie korawiańskiej pewnego człowieka? — te i tym podobne myśli przesuwały się przez głowę Cheshama.

Bardzo możliwe, że oficer policji spojrzałby groźnie na meldującego się nocnego gościa i rzekł: „Świetnie, niech pan idzie do domu, dobrze się wyśpi i da mi święty spokój". Z drugiej strony jednak, nie było wykluczonem, że telefonem i po drutach telegraficznych wiadomości o ostatnich zdarzeniach rozchodziły się wszerz i wzdłuż i że dawno już zawiadomiono wszystkie posterunki, aby zwróciły uwagę na sprawcę zabójstwa, który zbiegł ze swego domu na Picadilly.

Nie było rzeczą przyjemną jechać w kierunku morza, będąc ubranym jedynie we frak i mając za jedyną ochronę szybę przed sobą.

Jadąc tak drogą południowo-wschodnią, prowadzącą z Londynu do Maidsone, a samtąd w samo serce ponurego Kentu, zdał sobie jasno sprawę, że jedynym powodem tych fantastycznych wydarzeń była Helena. Helena o szarych, marzących oczach, o rubensowskich włosach i lekko rozchylonych ustach, które w pocałunku przycisnęła do jego ust. Zapomniał najzupełniej o ojcu jej Marku Mann, o rojalistach korawiańskich, o trzech ślepych żebrakach, o tym całym dziwnym klubie, który zwał się „Piratami z Picadilly". Słyszał tylko ostatnie słowa, jakie po-

wiedziała do niego Helena: „Uważaj na siebie. Zrób to dla mnie!"

Słowa te brzmiały mu w uszach gdy wiatr silniej dął, słyszał je, gdy w ciemnościach uszu jego dobiegał rytmiczny hałas motoru auta.

Jechał dalej i dalej. Powoli szum motoru milknął, a wkońcu auto zatrzymało się z cichym jękiem na otwartej szosie. Przeklinając Samuela Levinsteina, zaczął badać powody popsucia się maszyny. Okazało się, że jeden z przewodów doprowadzających benzynę był uszkodzony, a pozatem, że maszyna nie posiadała kilku drobnych wprawdzie, ale niemniej ważnych części. Przekonawszy się o tych mankamentach, nie dziwił się Chesham, że Levinstein z taką satysfakcją zamknął swój garaż i dlaczego kupno doszło tak prędko do skutku.

Mimo wszystko po doryw-czej naprawie udało mu się uruchomić wóz. Podróż szła z trudnościami, ale w każdym razie pozostawiał Londyn coraz bardziej za sobą. Wkońcu przyszła chwila, w której Artur poczuł powiew La Manche'u. Wiatr przynosił powietrze nieco słone i przypominające morską głębię. Musiał się znajdować niedaleko Rommey Marsch. W tejże właśnie chwili auto jego wypowiedziało całkowicie posłuszeństwo.



...zatrzymał się przy studni benzynowej, aby napełnić bak...

Artur był zmuszony wysiąść po raz dziesiąty i zająć się reperacją. Wkrótce twarz jego posmarowana była olejem, jak również gors jego frakowej koszuli. Stawał się coraz bardziej niecierpliwy i patrzył niechętnie na rozbity grat, którym miał się dostać do celu. Po chwili zdał sobie sprawę, że nic już nie zdoła pobudzić do życia tej maszyny.

Wzruszywszy ramionami, sięgnął do kieszeni po ostatniego papierosa i zapalił go. Usiadł znów na swojem miejscu i zastanawiał się, gdzie właściwie obecnie się znajduje. Stwierdził przytem, że był bardzo zmęczony i śpiący. Otaczały go zupełne ciemności, a z daleka dało się słyszeć szczekanie psa. Robiło to wrażenie, jakby głos jego dolatywał z odległości tysięcy mil.

Wyciągnął nogi. Papieros dogasał i tkwił nieruchomo w kąciku jego ust. Artur Chesham stracił świadomość i zasnął.

ROZDZIAŁ XXIII.

Policja się rozpytuje.

Policjant z posterunku małej miejscowości, leżącej nad brzegami Romney Marsh drapał się w zamyśleniu po świeżo ogolonym podbródku. Zastanawiał się urzędowo nad zjawiskiem, które miał przed oczami.

Na miejscu szofera siedział w zniszczonym aucie mężczyzna w wieczorowym stroju i spał. Oddychał ciężko i chrapał nieco. Nie miał oczywiście najmniejszego pojęcia, że wóz jego stanął na środku drogi, niedaleko od wsi.

Policjant przyglądający się tej scenie, zakaszlał. Nie wywarło to jednak najmniejszego wrażenia na śpiącym. Chcąc zwrócić jego uwagę, zaczął głośno chrząkać i hałasować, a gdy i to nic nie pomagało, szarpnął śpiącego za ramię.

— Cóż u licha? Kto mnie budzi? — mruczał rozzłoszczony Artur, który nie zamierzał wcale przerywać swej drzemki, patrząc się w twarz zaciekawionego konstabla.

— Dzień dobry panu, Sir — rzekł tenże, starając się nawiązać rozmowę.

— Dzień dobry, dzień dobry — odparł Chesham. — Niech pan mi powie, gdzie właściwie się znajduję — zapytał wkońcu, pozbywając się resztki swych snów, które nawiedziły go podczas drzemki.

— Pan znajduje się na szosie Ham, Sir i stanął pan sobie na środku drogi!

Jedynym skutkiem tych uwag było to, że Chesham uzmysłowił sobie, iż jest nad wyraz głodny i że zjadłby śniadanie za wszelką cenę.

— Czy mógłbym coś dostać do jedzenia we wsi? — zapytał.

— Owszem mógłby pan, lecz...

Słysząc te słowa Artur zdał sobie sprawę, że przecież jest człowiekiem, za którym śledzi policja, zarzucając mu zabójstwo. A tu oto znajdował się jakieś sto mil od Londynu i rozmawiał sobie najspokojniej z policjantem. Lecz również i policjant, przyjrzawszy się dziwnemu szoferowi, zorjentował się, że coś z tym człowiekiem we fraku jest nie w porządku. Oczy jego śledziły Cheshama podejrzliwie.

— Niech pan lepiej posunie swoje auto na bok, sir — rzekł nieco ponurym tonem.

— Może mi pan pomoże je popchnąć. Maszyna się zepsuła.

— Dokąd pan właściwie jedzie? — pytał dalej policjant.

— Ja? hm... nad morze!

— Rozumiem.

Policjant stawał się z minuty na minutę bardziej poważny i przybierał coraz bardziej oficjalny ton. Chesham widząc, że konstabl bada wzrokiem jego dziwne ubranie, postanowił wykręcić się z dalszych pytań... śmiechem.

— Przypuszczam, że pan jest nieco zdziwiony mojem ubraniem wieczorowem i innemi szczegółami. Widzi pan, byłem na pewnym dancingu tej nocy i opuszczając miasto, zachciało mi się naraz pojechać nad morze.

— Jakto? Tak sam, bez towarzystwa?

— No tak, oczywiście.

— I nawet bez płaszcza? Przecież w drodze musiało być dość chłodno?

— Owszem, nieco zmarzłem.

Nastąpiła krótka przerwa w rozmowie, którą Chesham wykorzystał celem zbadania możliwych podejrzeń policjanta. Był bowiem przekonany, że spotkanie z tym wiejskim konstablem stanie się poważnem zagadnieniem.

— Chciałbym zobaczyć pańską legitymację.

— Moją legitymację? — Artur udawał, że nie rozumie jasnego zupełnie pytania.

— Oczywiście, zezwolenie na jazdę.

Młody człowiek roześmiał się, lecz śmiech jego brzmiał nieco fałszywie.

— Boję się, że zostawiłem je w moim płaszczu, którego nie wziąłem z miasta.

— Rozumiem.

Niewiadomo było, czy naprawdę rozumie całą sytuację, w każdym razie głos jego wyrażał dużą dozę podejrzenia.

— Wszystko w porządku? — pytał się Chesham, udając w dalszym ciągu dobry humor i powstając ze swego siedzenia.

— Przypuszczam, że będzie lepiej, jak pan uda się ze mną na posterunek i poda mi pan kilka szczegółów o sobie.

Ton, jakim powiedziane były te słowa nie wróżył nic dobrego, gdyż był najzupełniej oficjalny, a sam policjant przybrał minę wysoce ważną.

— Ale przecież to niema sensu — starał się tłumaczyć Chesham.

— Bardzo możliwe, sir, ale jest moim obowiązkiem przeprowadzenie szczegółowego badania.

— Jeżeli tak, to trudno — odparł Artur, widząc, że niema wyjścia z tej sytuacji. Wysiadł z auta i zmęczony wrażeniami nocy, ziewnął głośno.

— Byłoby jednak dobrze, gdybyśmy to auto nieco usunęli w kierunku krzaków — rzekł Chesham, wskazując głową na swój samochód.

Gdy na chwilę policjant odwrócił się w kierunku auta, wystarczyło to najzupełniej Cheshamowi, aby zadać mu silne uderzenie, które położyło konstabla na obie łopatki. Hełm jego spadł mu z głowy i potoczył się wzdłuż drogi. Rzuciwszy okiem na swą ofiarę, Chesham przekonał się, że na kilka najbliższych minut będzie ona niezdolna do jakiegokolwiek działania.

Mężczyzna we fraku zaczął uciekać w kierunku, w którym poprzednio jechał autem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KSIĄŻĘTA MODY

Napisał: ANDRÉ DE FOUQUIÈRES

brat szefa protokołu dyplomatycznego Republiki francuskiej

Gdy oglądam stare obrazy, spotykam się z typami ludzkiemi, które już dawno zginęły. Strata ta nieraz jest wysoce dotkliwą, przynajmniej jeżeli idzie o mnie. Jednym z najciekawszych takich typów jest bezwątpienia — dandy.

Czemże jest dandy?

Słynny poeta Chateaubriand pozostawił nam niezbyt pochlebną definicję dandysa; pisze on bowiem:

„Dandy wykazuje dumną niezależność swego charakteru, wyciągając swoje nogi przed siebie i podsuwając je paniom, które siedzą naprzeciwko niego, aby je podziwiały. Kiedy jedzie konno, trzyma swój steak tak, jak się nosi świecę podczas procesji i nieużyczając koniowi, na którym siedzi, najmniejszej uwagi. Możnaby przypuszczać, że dandy nie jest świadom swej egzystencji lub też egzystencji otoczenia. Robi wrażenie, jakgdyby nie zdawał sobie sprawy z obecności pań i jakby wogóle z nikim nie potrzebował się liczyć".

Obraz ten przedstawia nam dandysa, jakim on był w Anglji w początkach XIX wieku. Reprezentantem tego typu był Jerzy Bryan Brummell, którego pieśń pochwalną zamierzam tutaj wypowiedzieć.

Najlepszemi jednak typami dandysa byli, moim zdaniem, Richelieu, Grammont i D'Orsay.

Istnieją bowiem dwie drogi, któremi można dojść do skończonego typu dandysa. Jedna z nich jest praktyczną, a druga teoretyczną. Są dandysi w ubiorze, ale są też dandysi literatury. W pierwszej grupie Brummel był jedynym w swoim rodzaju. Był to bezwzględnie unikat, który panował niejako nad swoją epoką. Będąc synem właściciela składu z konfekcją, dostał się do Eton i robił wszelkie możliwe wysiłki, aby zaprzeć się swych rodziców. Nie posiadał jednak wielkich szans wybicia się dzięki swemu urodzeniu. Nie miał też ani żadnych talentów, ani specjalnego zamiłowania do jakiejkolwiek gałęzi wiedzy. Mimo to stał się wkrótce najwybitniejszym młodym człowiekiem w całej szkole. Posiadał bowiem niebywały instynkt, który nakazywał mu milczeć w odpowiedniej chwili, a innym znów razem wyrażać się bardzo pięknie a przytem ubierał się nienagannie. Coraz to nowe wynajdywał klamry do bucików, a czegoż więcej było potrzeba?

W tym właśnie czasie arystokratyczne towarzystwo dzieliło się na dwie kategorje: jedna część nosząca nazwę „bucks" — określenie dandy jeszcze nie było wynalezione, starała się być tem, co dzisiaj nazywamy „smart", to jest człowiekiem bezpretensjonalnym, który nie liczy się z pieniędzmi. Brummell wkrótce zajął pierwsze miejsce w tej grupie i znany był jako „piękny Brummell", w czem polegała tajemnica jego powodzenia. Nie przesadzam, Brummell cieszył się w tych kołach niebywałem uznaniem i wpływami zgoła niezrozumiałemi, jeżeli się weźmie pod uwagę, że chodziło przecież o człowieka, który nie miał żadnej większej wartości. Osoba jego musiała mieć jakieś niezwykłe zalety i nieokreślony czar. Ówczesny książę Walji, a późniejszy król Jerzy IV, stał zupełnie pod jego wpływem i często się z nim spotykał. „Pierwszy gentleman" Europy był bezapelacyjnym sędzią we wszystkich zagadnieniach mody. Współcześni twierdzą, że rocznie wydawał 2.000 funtów szterlingów na stroje. Brummell odznaczał się niebywałą pomysłowością w zakresie mody męskiej. Potrzebował też „tylko" dwóch godzin na ubranie się, a najbardziej kunsztownem u niego było zawiązywanie krawatki. Musiało ono się udać za jednym zamachem. Krawatka ta, będąca białą wstążką, układała się naokoło kołnierzyka dosyć wysokiego, a spięta szpilką, pozwalała mu opadać na nią. Krawatka Brummella wzbudziła zainteresowanie pani de Staël, a Alfred de Musset mówił o niej często. Nieraz też ówczesny książę Walji, który był równocześnie regentem państwa, był obecny przy misterjach zawiązywania krawatki przez Brummella, ku jego jednak wielkiej przykrości nie udawało mu się nigdy sprostać naszemu dandysowi. Obaj panowie mieli jednego krawca, który bardziej był dumny z tego, że ubierał Brummella, niż ze swego książęcego klienta. Taine opowiada, że lord Byron nigdy nazwiska Brummella nie wymawiał bez zazdrości i pewnego rodza-

Ciąg dalszy na str. 30-ej.



Na prawo: Typowy dandys dobiera krawat do fraka...



Na lewo: Typ dandysa z początku XIX w.



Na prawo: Słynny poeta francuski Alfred de Musset należał do elegantów swego stulecia.



Powyżej: Hr. Alfred d'Orsay, jeden z najgłośniejszych elegantów XIX w.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

PIECZARKI Z JAJAMI. Pieczarki, uduszone na świeżem maśle, posolić, dodać siekanej zielonej pietruszki i 3 łyżki kwaśnej śmietany, rozbitej z trzema jajami, podsmażyć szybko i podawać w rancie z puree ziemniaczanego.

RULADA ORZECHOWA. 10 dkg cukru, utrzeć z 3 żółtkami, dodać 12 dkg tartych orzechów włoskich, pianę z pozostałych trzech białek i łyżkę tartej bułki. Masę wylewa się na rozgrzaną, masłem natartą i mąką wysypaną blachę, piecze szybko i póki gorące zwija się. Ostudzony rulon odwija się ostrożnie, napełnia bitą śmietaną lub kremem kawowym.

JAJA PO WŁOSKU. 6 całych jaj wybić do garnuszka, dodać 4 łyżki mleka, posolić i rozbić miotełką od piany, następnie dodać 12 dkg siekanej szynki, łyżkę gęstej kwaśnej śmietany i łyżkę szczypiorku. Małe filiżanki wysmarować deserowem masłem, ponalewać przygotowaną masą jajeczną, stawić do rondla z gorącą wodą (wody tylko trochę, aby się nie nalewała do filiżanek), nakryć dużą pokrywą i gotować 20 minut. Osobno ugotować na sypko 20 dkg ryżu. Ugotowane w filiżankach jaja wyrzucić w rząd na ogrzany podłużny półmisek, obłożyć ryżem, polać masłem i posypać parmezanem. Sos pomidorowy lub zielona sałata jako dodatek.

FLAMMERI Z PŁATKÓW OWSIANYCH. 14 dkg płatków owsianych zasypać na pół litra gotującej wody z łyżką cukru, szczyptą soli i kawałkiem wanilji, rozgotowć na gęstą masę. Osobno utrzeć 2 żółtka z 8 dkg cukru, dodać 5 dkg parzonych, posiekanych migdałów, 3 dkg w gorącej wodzie nasiąkłych rodzynków, wymieszać z gorącą jeszcze masą, wkońcu dodać pianę z pozostałych białek również do gorącej masy, nałożyć do formy wypłukanej zimną wodą i zastudzić. Podawać z sokiem owocowym.

SUFLET Z SZYNKI. 7 dkg masła utrzeć z 4 żółtkami, dodać pół szklanki śmietany, 25 dkg mielonej szynki, 2 dkg parmezanu, pianę z 4 białek. Masę wykłada się na ogniotrwałą salaterkę i zapieka w piecu lub też gotuje na parze, jako budyń. W pierwszym wypadku dodatek stanowi sałata, w drugim sos grzybowy dobrze gęsty.

WŁOSKA POTRAWA Z MAKARONU. 20 dkg gotowanego makaronu włoskiego, kładzie się warstwami w natartym masłem rondelku, przekładając go w krążki pokrajanemi twardemi jajami. Każdą warstwę skrapia się masłem i posypuje parmezanem i smażoną w maśle bułeczką. Gdy rondelek napełniony, polewa się potrawę gęstym sosem pomidorowym i zapieka w piecyku.

OEUFS POCHES W ŚMIETANIE. Do płaskiego rondla daje się litr wody, łyżkę octu i łyżeczkę soli i ustawia na ogniu. Gdy się woda zagotuje, wbija się ostrożnie 2—3 jaja, każde w inne miejsce, zbierając białko małą łyżeczką, aby jaja były okrągłe. Po paru minutach białko się zetnie, wtedy wyjmuje się jaja łopatką durszlakową, wkłada na moment do zimnej wody. Głębszą patelnię naciera się świeżem masłem, wlewa 1/4 litra kwaśnej śmietany, układa na niej przygotowane jaja, posypuje szczypiorkiem, siekaną sardelką i smażoną bułeczką, kropi się masłem i zapieka w piecyku.

SOS TATARSKI DO ZIMNEGO MIĘSA. 4 żółtka i tyleż łyżek octu winnego (o ile za ostry, rozpuścić wodą) szczyptę soli i cukru, ubijać na parze aż zgęstnieje i zacznie się podnosić. Odstawić i ubijać aż do ostudzenia, dodać łyżkę siekanych kaparów, łyżkę kremskiej musztardy, kilka siekanych pikli lub korniszonów, białego pieprzu, soli i cukru do smaku. Odstawić na pół godziny na lód.

SUFLET CYTRYNOWY. 5 żółtek, 10 dkg cukru pudru, sok i otartą skórkę z 1 cytryny uciera się przez 10 minut, potem dodaje się pianę z 5 białek i łyżeczkę mąki. Suflet piecze się w ogniotrwałej miseczce przez 15 minut. Musi być natychmiast podawany, dlatego wstawić go należy do pieca w chwili podawania zupy na stół.

RZYMSKI PONCZ. 4 żółtka, 15 dkg mączki cukrowej i łyżeczkę mąki oraz dwie łyżki rumu, ubija się na parze aż się zacznie podnosić (nie gotować!). Następnie ubija się, aż zupełnie ostygnie. Wtedy dodaje się pół litra ubitej kremówki, cukru i rumu, napełnia szklaneczki i stawia na lodzie.

SZNYCELKI PODANE A LA SACHER. Małe sznycelki cielęce, panierowane w jajku i bułeczce, usmażone na maśle, układa się na środku podłużnego półmiska; z jednej strony nakłada się gęsto uduszony szpinak, z drugiej szybko usmażoną jajecznicę, posypaną szczypiorkiem.

Sc. Ko.



SMAŻONA KALAREPKA.



Obraną kalarepkę kraje się w talarki, macza w rozbitem jajku, otacza w tartej bułce i smaży na maśle na kolor jasno żółty. — Posolić i skropić sokiem cytrynowym.

Tak przygotowana kalarepka stanowi smaczny i delikatny dodatek do pieczystego.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat. i żyd.	Tydzień 25 — CZERWIEC — Dni 30
Niedziela **16** Justyny, Jolanty 15 Siwan	Chłodnik owocowy z grzaneczkami. Szparagi z bułeczką. Mostek cielęcy z pieczarkową nadzianką. Mizerja. Suflet cytrynowy. <u>Kolacja:</u> Zimne mięso z sosem tatarskim.
Poniedziałek **17** Adolfa 16 Siwan	Rosół z knedelkami bułczanemi. Budyń szpinakowy. Sztuka mięsa z sosem koprowym. Flammeri z płatków owsianych. <u>Kolacja:</u> Jaja pochée w śmietanie.
Wtorek **18** Marka, Marcelina 17 Siwan	Krupnik na śmietanie. Suflet z szynki. Sznycelki á la Sacher. Placek kruchy z rabarbarem. <u>Kolacja:</u> Nowe ziemniaczki z serem.
Środa **19** Gerwazego i Prot. 18 Siwan	Chłodnik z botwinek z twardem jajem. Jaja po włosku. Prędkie rozbratle z smażonemi ziemniaczkami. Kompot mieszany. <u>Kolacja:</u> Kalafior, chleb, ser.
Czwartek **20** Boże Ciało 19 Siwan	Zupa szparagowa z ryżem. Włoska potrawa z makaronem. Zrazy naturalne z purée ziemniaczanem. Krem waniljowy z biszkoptem. <u>Kolacja:</u> Smażone ziemniaczki z kwaśnem mlekiem.
Piątek **21** Alojzego, Alicji 20 Siwan	Żurek z ziemniaczkami. Pierożki ruskie zapiekane. Sandacz z jajem. Ryż ze śmietaną. <u>Kolacja:</u> Kaszka krakowska z kefirem.
Sobota **22** Paulina bisk. 21 Siwan	Zupa z młodych jarzyn. Knedle bułkowe z sosem gulaszowym. Smażona wątróbka z sałatą zieloną. Legumina z grysiku. <u>Kolacja:</u> Jaja na szynce z zieloną sałatą.

Życie towarzyskie i artystyczne

Japońska gwiazda filmowa.



Na prawo:

Jeden z najwybitniejszych pianistów doby obecnej, Krakowianin, Mieczysław Münz, rozpoczął przed dwoma tygodniami wielkie tournée artystyczne po krajach południowej Ameryki. Pierwsze wiadomości, jakie stamtąd do nas dotarły, mówią jednogłośnie o wielkich sukcesach tego pianisty.

Na zdjęciu: Mieczysław Münz przy swoim fortepianie. *Fot. „As"*

★ ★ ★

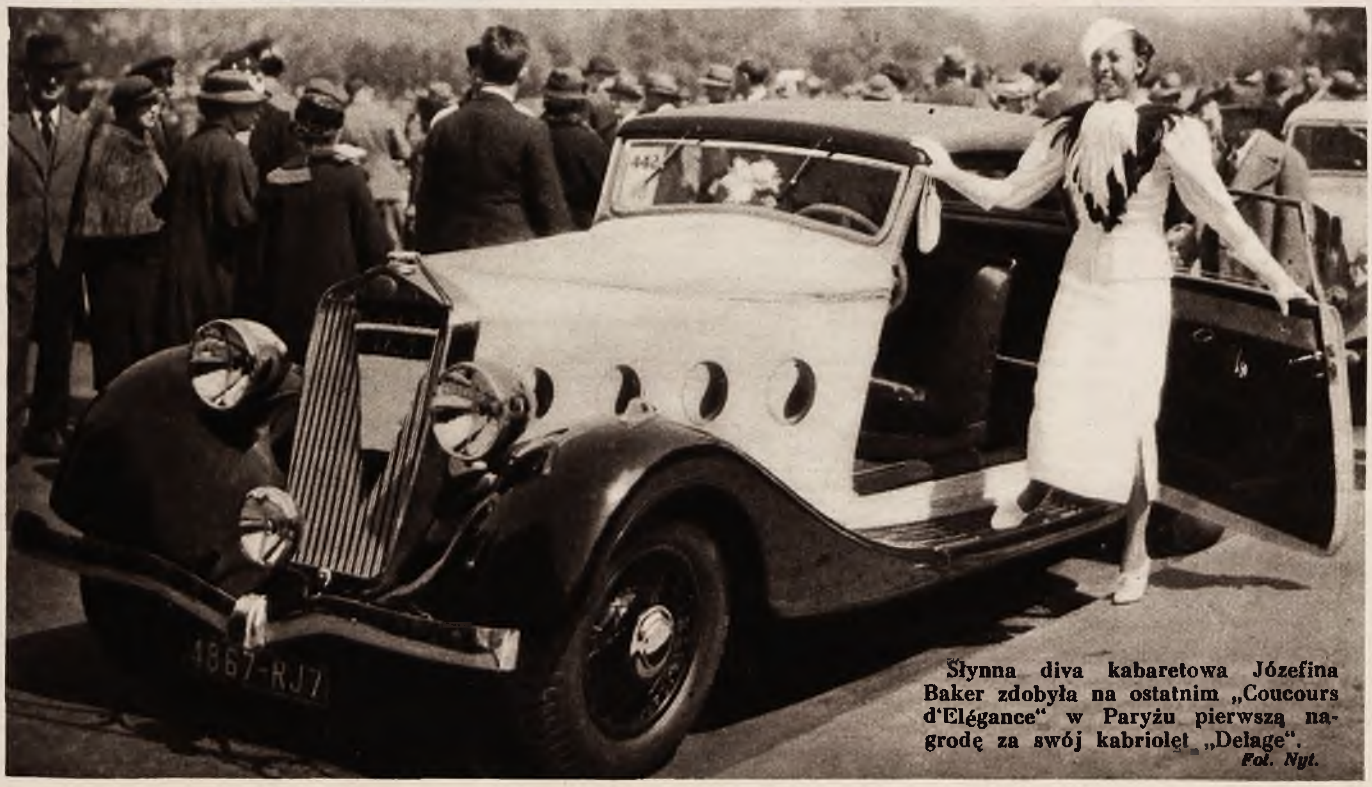
Na lewo:

Na firmamencie japońskiego filmu zabłysła ostatnio gwiazda pierwszorzędnej wielkości. Jest nią młodziutka Takako Irie, która w swym kraju cieszy się już niemniejszą sławą, niż n. p. Mary Pickford w Ameryce. Film japoński pokłada duże nadzieje w jej kreacjach, które zdobyć mu mają zagraniczne rynki.

Na zdjęciu: Takako Irie siedzi na krzesełku reżysera w wytwórni filmowej. *Fot. Presse Photo*

Sukcesy Münza w Ameryce Płd.





Słynna diva kabaretowa Józefina Baker zdobyła na ostatnim „Coucours d'Elégance" w Paryżu pierwszą nagrodę za swój kabriolet „Delage". *Fot. Nyt.*

KORON KOWE LATO

Zdawien dawna koronki były synonimem najwytworniejszego stroju. Ich przejrzysta konsystencja, delikatne w artystycznym rysunku wzory, wreszcie faktyczna wartość rzeczowa, sprawiły, iż kobiety z prawdziwem zamiłowaniem używały ich do uzupełnienia ubioru czy też później na wykonywanie całych okryć w kształcie słynnych chust i szali, czy też welonów ślubnych. Te ostatnie widzimy jeszcze do dziś dnia u królewskich oblubienic. Nad robotą takich welonów pracują długie miesiące i lata wielkie partje wyćwiczonych koronczarek. Im cieńsza nitka służy do wykonania koronki tem cenniejsza i trwalsza będzie ona po wykończeniu. Wchodzą tu w rachubę przedewszystkiem koronki igiełkowe, niesłychanie pracowite i tak czasami cieniuchne, że nad wykonaniem jednego miniaturowego listeczka trzeba pracować cały dzień. Można sobie wyobrazić ogrom pracy, potrzebnej do wykonania kilkumetrowej długości welonu!

Ale to wszystko dziś już jedynie dzieła muzealne. Tam też tylko oglądać można obok koronkowych cacek dla użytku stroju kobiecego, bogate żaboty, manszety i chusteczki, używane przez mężczyzn w czasach wielkiej mody dworskiej na królewskim dworze francuskim.

Koronka zajęła honorowe miejsce w stroju kobiecym po złoconych siąteczkach, łączonych szlachetnymi kamieniami i otrzymała odrazu najbardziej arystokratyczne pomieszczenie w gotowalni.

Dziś należy koronka do przeszłości, o ile chodzi o jej najdoskonalszy wyraz w postaci ręcznych wyrobów. Z chwilą, gdy zaczął się maszynowy wyrób koronek, ręka ludzka nie podoła już więcej w szybkości wykonania, choć gatunkowo tworzy wyroby nierównie wyższego gatunku. Praktycznego zastosowania te właśnie jednak koronki mieć nie mogą w naszych czasach, kiedy



Urocza sukienka wizytowa z koronki w kremowym kolorze. Piękny kołnierz z ryszą gazową dokoła.



Tualeta wieczorowa z koronki szarej na błękitnem tle. Błękitna szarfa i kapelusz z miękiego filcu.



moda rzuca coraz nowe hasła i coraz nowe każe tworzyć modele strojów dla cór Ewy.

Koronki fabryczne, efektowne na pierwszy rzut oka, nie mogą wytrzymać porównania z koronkami ręcznemi. Odnosi się to nadewszystko także i do ich wytrzymałości. Koronki brukselskie, czy weneckie, służyły kolejno kilku pokoleniom i przekazywane były jako cenne dary do posagów. Koronka współczesna jest bardzo nietrwała, ale też na potrzeby zmieniających się ciągle prądów mody, jest w zupełności wystarczająca. Zastosowana, jak w obecnym sezonie, do wykonywania całych sukienek, zwłaszcza wieczorowych, daje piękniejsze efekty od innego rodzaju materjałów, jakie służą nowoczesnej kobiecie.

I tak, jak ubiegłego lata, hasłem dnia była organdi, tak dziś delikatna i przejrzysta, biała lub kolorowa, koronka maszynowa. Nie pytamy o jej pochodzenie i nie zależy nam na tem, aby była „nie do zdarcia". Wystarczy, że jest w całem tego słowa znaczeniu efektowna. Przez umiejętne dostosowanie tła pod cieniutką koronkę uzyskujemy dużą rozmaitość przy sukniach koronkowych. Każda z nich odrazu zmienia swój charakter, gdy n. p. zamiast na białem tle włożymy ją na tło błękitne, przyczem przybranie sukni także jest dostosowane do tego koloru.

Obok koronki jedwabnej czy bawełnianej o pajęczem tworzywie, nosi się w tym roku dalej suknie z materjałów koronkowych o grubszej osnowie i mniej skomplikowanych wzorach, powtarzających się, wykonywanych częstokroć z wełny. Na użytek sportowy, czy do codziennego użytku, suknie te są lekkie i miłe w noszeniu. Ale to niema już nic wspólnego z koronkami naszych prababek.

Tamte spoczywały lata całe w zamczystych skrzyniach, przesypane lawendowem kwieciem. Widziały światło dnia, czy łuczywa, przy rzadkich tylko okazjach, w czasie uroczystości rodzinnych lub na magnackich dworach. Chowały tajemnice kilku nieraz pokoleń, służąc do przystrojenia białogłowskich szat, albo też małżeńskiej alkowy. Powoli, powoli zetlały ich nitki i spojenia i skończył się wiek panowania koronki. Ich resztki zobaczymy jeszcze na jakimś staroświeckim wachlarzu, czy za szkłem serwantki...

Ale wdzięk koronki nad nami trwa, a od czasu do czasu wydobywa je moda z zapomnianego lamusa, odmłodzone, jak właśnie w tym roku.

Elwira.

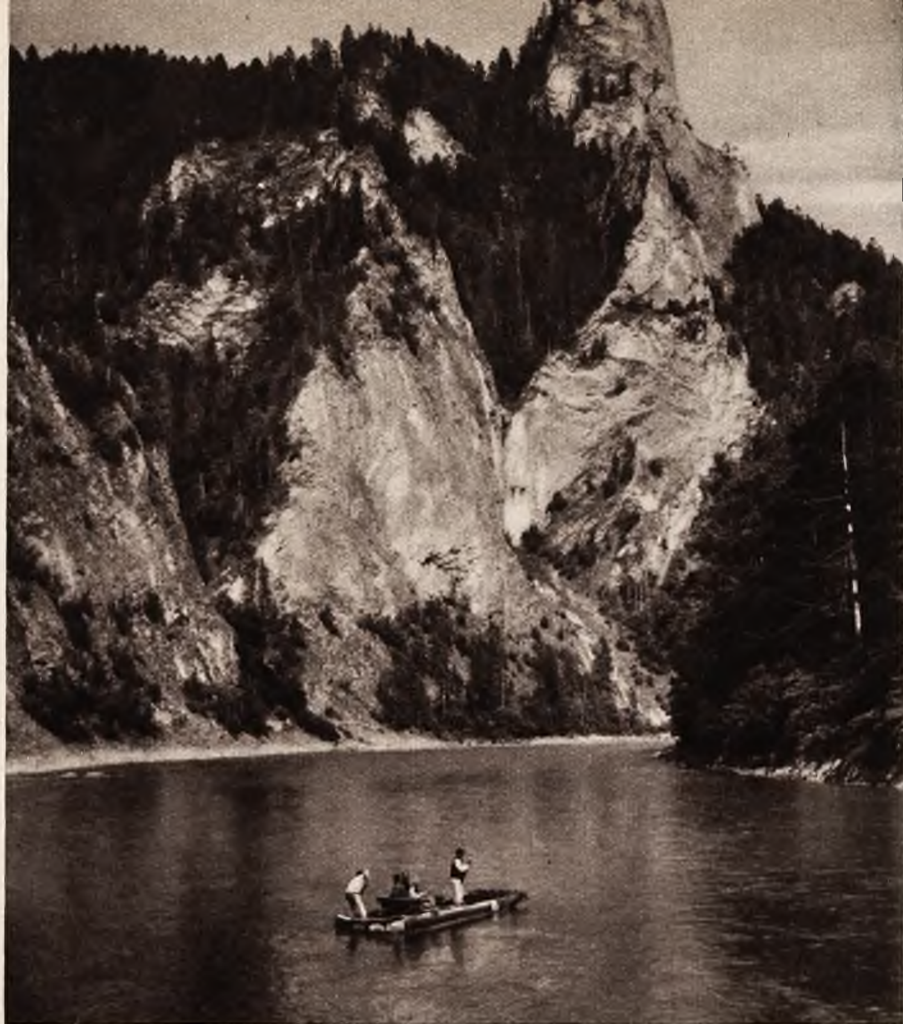


Spodniczka z bluzą z wełnianej koronki beige. Brązowe guziki i pantofelki.



Sukienka z koronki chantillowej w odcieniu seledynowo-niebieskim.





PERŁY

POLSKIEGO KRAJOBRAZU

Przełom Dunajca przez Pieniny stanowi niewątpliwie jedną z najpiękniejszych partyj polskiego krajobrazu, budzącą podziw turystów krajowych i zagranicznych. W pobliżu Pienin leży słynne zdrojowisko Szczawnica, które obok swych niezwykłych wartości klimatycznych dysponuje doskonałemi wodami leczniczemi, skutecznemi w wielu chorobach. Zdjęcie nasze przedstawia szczyt Sokolicy w Pieninach, na pierwszym planie zaś spływ charakterystycznemi łodziami pienińskiemi na trasie od Czorsztyna do Szczawnicy.

(Dokończenie ze str. 25).

ju podziwu. Ale też Brummel bardzo dbał o opinję i starał się podtrzymywać dobre o sobie mniemanie. Rzadko tylko przemawiał w większem gronie, wybierając jakąś impertynencję, aby swoją reputację bardziej zaakcentować.

Kiedyś zapytał się lorda X:

— Co pan ma za jakieś dziwne przedmioty na nogach?

— No, oczywiście buty — odparł zdziwiony lord.

— Ach tak, — odparł dandys, podnosząc swoje lorgnon i przypatrując się pilnie butom lorda z pewnem zdziwieniem. A wkońcu dodał:

— Wziąłem to za pantofle.

Gdy pewnego razu jeden znajomy zaprosił go na obiad, odparł:

— Owszem, chętnie odwiedzę pana, o ile o tem nikt się nie dowie.

Innym znów razem oświadczył znajomemu, który chciał go odwieźć swoją karetą.

— Cóż ludzie sobie pomyślą, gdy zobaczą mnie w karecie, a pana na koźle?

Brummell stanowił wśród dandysów specjalną odmianę, gdyż był wysoce nieuprzejmy, podczas gdy inni nimi nie byli. Lecz mógł sobie na to pozwolić. Mimo to jednak wystąpiwszy kiedyś w swoim właściwym mu tonie wobec księcia Walji, powinęła mu się noga. Musiał opuścić Londyn, przeniósł się do Calais, a potem do Caen, gdzie umarł w biedzie. Koniec jego był srogą karą za jego poprzednie życie. Zdarzało się, że zbierał końce świec w hoteliku, w którym mieszkał, przynosił je do swego pokoju sypialnego, a następnie otwarłszy drzwi anonsował fikcyjnych gości: „Jego królewska wysokość książę regent!", „Lady Jersey!", „Jej miłość Georgina księżna Devonshire!" Następnie biegł do drzwi, jakby chciał dostojnych gości powitać. Na końcu stary dandys chciał zaanonsować sam siebie i obwieścić doniosłym głosem: „George Bryan Brummell", lecz głos jego się załamywał, zrozumiał, że to wszystko jest przecież tylko fantazją, opadł na fotel i zaczął rzewnie płakać.

Brummell jest charakterystycznym typem praktycznego dandysa. Lord Byron zrobił z tego typu rodzaj bohatera, tajemniczego i dumnego ducha ciemności, jakiegoś Manfreda, Larę czy Don Juana.

Każda epoka posiada swoich dandysów i gdy porównamy postacie bohaterskie w powieściach z temi typami elegantów znajdziemy, że wpływ ich na literaturę jest duży i że oni ją inspirują. Staje się ona wtedy obrazem obyczajów i manier danego czasu. W XVII wieku takim dandysem był Ludwik XIV, który ubierał się z wielkim smakiem, w XVIII wieku spotykamy się znów z innymi postaciami, jak: księciem de Lauzum, margrabią de Vardes, hrabią de Lude, kawalerem de Grammont i hrabią de Guiche.

Wiek XVIII przynosi typ „dyletantów-uwodzicieli", zjawiają się postacie powieściowe, modelowane wszystkie na Don Juanie. Taki np. książę Richelieu był poprostu opętany manją dandyzmu, ale tylko niewiele kobiet zdołało mu się oprzeć. Był jednak zupełnie niepodobnym do Brummella, gdyż posiadał wiele uroku czysto francuskiego. W czasach tych nikt nie posiadał skrupułów, dlaczego też miałby je mieć wytworny Richelieu? Przecież każdy elegant ówczesny posiadał swoją kochankę i szczycił się tem. Zdarzyło się, że dwie panie z towarzystwa... pojedynkowały się o pięknego księcia, co ogromnie go ubawiło. Zjawił się też podczas pojedynku i... pozostał zwycięzcą. Był to renesans donjuanizmu, co jednak niedługo trwało, gdyż pod razami satyry krytyki filozofów cały gmach ówczesnego ustroju wkrótce się zawalił, a razem z jego upadkiem również i typ Don Juanów został zmieciony z powierzchni ziemi.

Lecz przyszły nowe wcielenia dandysa. Zjawili się muskadyni, kobiety wtedy podziwiały szerokie ramiona, a przylegające stroje pozwalały obserwować ruch muskułów. Nowi dandysi nosili grube laski i wogóle robili wrażenie wysoce energicznych i dzielnych. Następny okres przyniósł ze sobą znów postacie, które odznaczały się myślącą, ale głównie bladą i wysoce tragiczną twarzą. Chodzili oni po świecie tak, jakgdyby nosili go na swoich ramionach. Epoka ta trwała dosyć długo, gdyż typ ten dobrze był widziany jeszcze na dworze Karola X i Ludwika Filipa. Byli to poprzednicy romantycznych bohaterów. Z Niemiec przyszedł zrozpaczony Werther i zapoczątkował epidemję samobójstw. Pierwsi dandysi, którzy pojawili się na bulwarach paryskich, byli kombinacją Brummella i Manfreda i ujawniali cechy zarówno elegancji, jak też pewnej bliżej nieokreślonej ponurości. Do takich typów należał Barbey d'Aurevilly, jakoteż Alfred de Musset. Przyszedł wkońcu czas, kiedy kobieta zaczęła oddawać się sportom. Ówczesne panie brały udział w polowaniach, paliły cygara, piły alkohol, jak mężczyźni, zachowywały się hałaśliwie, a nawet z całą śmiałością, jakiej dawniej nie posiadały. Starały się one naśladować Lelję i Manfreda i udawały, że kwestje miłosne zupełnie ich nie interesują, o ile nie łączą się one ze zbrodnią i innemi strasznościami.

Drugie cesarstwo natomiast było idealną epoką dla miłości. Byronizm wyszedł z mody, a ludzie cieszyli się byle czem. Dużo uroku dawała okoliczność, że panował wtedy wielki przepych. Weszło w modę rujnowanie się dla kobiet.

Dzisiaj ludzie są ogólnie bardzo sceptycznie usposobieni, to też wolą prowadzić spokojną konwersację i czynić to, co jest w zgodzie z ogólnie przyjętemi przepisami niż drapować się w taką, czy inną rolę koturnową.. Wszyscy zresztą są mniej lub więcej ograniczeni w przejawach swej woli, dlatego też nie ma dzisiaj miejsca dla dandysów.

tłum. JGM.

AS **Kupon konkursu na „Najpiękniejszy Uśmiech"**
Nr. 16 z dnia 16 czerwca 1935



Korzystna transakcja.



— Więc zamek kosztuje 200 tysięcy złotych, a za niewielką dopłatą mogę panu odstąpić również moich przodków!

„Skromność".



On: — Śniło mi się tej nocy, że prosiłem o rękę najpiękniejszą kobietę świata...
Ona: — Tak? I cóż ja na to odpowiedziałam?...

Logogryf.

(Ułożył: J. Piękniewski — Łódź).

Obok zamieszczony logogryf należy rozwiązać według następujących wskazówek:

1) Góra w Tatrach.
2) In.: znęcający się.
3) In.: rozjaśniać.
4) In.: trenować.
5) In.: pojazd.
6) Narzecze.
7) In.: otaczać.
8) Choroba.
9) Miasto w Niemczech.
10) Rodzaj małp. — u = ó.
11) In.: rabunek.
12) In.: skrzypek.
13) Pisarz angielski.
14) In.: opalić się.
15) In.: dziki rumak.

Litery początkowe słów, czytane z góry na dół dadzą znane polskie przysłowie.



To warto poznać..



Jak przewidywaliśmy tydzień temu, przed premjerą, molierowski „Chory z urojenia" w Teatrze Aktora w Warszawie stał się wspaniałem widowiskiem, kapitalnie wyreżyserowanem przez Perzanowską i świetnie zagranem przez cały zespół z Jaraczem i Zimińską na czele.

Charakterystycznem jest dla współczesnych naszych zainteresowań teatralnych, że wszystkie dyrekcje chcąc zdobyć publiczność, wertują stare zakurzone egzemplarze sztuk teatralnych i wydobywają z archiwum dzieła klasyczne lub dawno niegrane, te ożywiają na scenie i sztuki odnoszą sukces, o jakim marzy każdy ze współczesnych autorów, a który tak trudno komukolwiek zdobyć.



Juljusz Osterwa w roli Konrada w „Wyzwoleniu".

W **Teatrze Narodowym** na zakończenie sezonu wystawiono — **„Wachlarz Lady Windermere" Oscara Wilde'a.** Wznowienie to wywołało powszechne zainteresowanie i pozwoliło Junoszy Stępowskiego stworzyć znowu jedną z jego świetnych sylwetek Lorda.

Teatr Polski gra bez przerwy, zapowiadane już przez nas, **„Wyzwolenie" St. Wyspiańskiego,** o którem pisze Kazimierz Wierzyński, że jest to „dzieło, dla którego nie wystarcza sprawdzianów sztuki. Rozwala ono wszystkie jej kanony, uchodzi wszelkim próbom stosowanych pomiarów. Jest to Synaj polski, objawiony w ogniu i natchniony nadludzką mocą, niepojęty tylko dla głuchych i obcy dla tych, których dotknęło kalectwo gorsze niż głuchota... Wróżby „Wyzwolenia" i jego tajemnice wyjaśnił Józef Piłsudski. Wyspiański mówił o tem, co Piłsudski wykonał... Niema na świecie drugiego takiego poematu bohaterskiego jak „Wyzwolenie". Zawsze przecież bohater wyprzedza poemat, który odtwarza jego postać mniej lub więcej ściśle. Tu tajemniczą osobliwością dziejów poemat został odtworzony przez bohatera... Sceny Wyspiańskiego stały się po pielgrzymstwie niewoli księgami narodu, walki i państwa polskiego".

„Wyzwolenie" znakomicie reżysersko przygotowali Schiller i Osterwa, a Osterwa w roli Konrada jest wspaniały.

Ciekawy i omawiany już tutaj przez nas reportaż K. Gołby p. t. **„Rekruci"**, poświęcony zagadnieniom współczesnego szkolnictwa, gra ostatnio Teatr Miejski w **Sosnowcu.** Sztuka przygotowana jest przez dyr. Gołaszewskiego i dobrze grana.

Teatr Polski w Katowicach wystawił pogodną komedję Kiedrzyńskiego **„Cudzik i Ska"**, w której, obok zespołu artystów katowickich, występuje gościnnie A. Fertner.

W Łodzi w **Teatrze Miejskim** — Wyspiański. Wystawiono bardzo starannie **„Sędziów" i „Warszawiankę"** wielkiego poety.

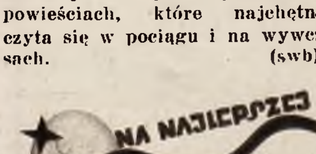
(swb)

NOWE KSIĄŻKI.

„Przyszłość Polski nad Bałtykiem jest zależna nietylko od ilości przeładowanych w Gdyni i Gdańsku towarów, oraz czujności naszej wobec „złego sąsiada"..., lecz w rownej niemal mierze zależy od twórczej roli, jaką ma spełnić Polska wśród społeczeństw i państw bałtyckich..." Te słowa najlepiej wyjaśniają cele i zadania pracy zbiorowej kilkunastu autorów, jaka p. t. **„Światopogląd morski"** ukazała się w ramach Pamiętnika Instytutu Bałtyckiego. Tom ten należy poznać, gdyż omawia on wiele zagadnień z różnych dziedzin naukowych, związanych z naszem morzem, wskazuje na znaczenie Polski nad Bałtykiem, ocenia Pomorze i Śląsk jako dwa symbole naszej niezależności państwowej, określa stosunek Kaszub do Polski, a także porusza zagadnienia literackie. — Dziś już chyba nie trzeba podkreślać, jakie znaczenie ma morze dla Polski i że wszyscy powinni poznać wszelkie zagadnienia z tym doniosłym problemem narodowym i państwowym związane.

W bieżącym tygodniu zapoznamy się jeszcze z dziełami Bolesława Prusa, które nakładem Gebethnera i Wolffa ukazują się w cyklu „pod znakiem Polskiej Akademji Literatury". Przyznajmy się, że dzieł Prusa nie znamy, że może kiedyś je czytaliśmy, ale już zapomnieliśmy. A zapomnieć — to znaczy nie znać. Dzieła zaś Prusa zasługują na to byśmy je wciąż czytali i wciąż do nich powracali.

Za tydzień w związku z masowemi wyjazdami na letniska, pomówimy o miłych i popularnych powieściach, które najchętniej czyta się w pociągu i na wywczasach. (swb).



Niedziela 16 VI. 1935 r.

12.20: Poranek muzyczny.
15.35: Beethoen: Warjacje c-Moll
18.45: „Życie na Wiśle".
22.00: Transmisja meczu piłkarskiego Polska—Węgry.
23.05: Wiadomości sportowe.
23.25: Muzyka salonowa.

Poniedziałek 17 VI. 1935 r.

16.00: „Gdynia okno na świat". Audycja.
17.45: St. Moniuszki „Bajka".
18.00: „Od Gutenberga do linotypu".
18.45: Ottorino Respighi: Fontanny rzymskie.
20.10: „Lilje" — opera F. Szopskiego.
23.05: Muzyka salonowa.

Wtorek 18 VI. 1935 r.

12.15: Koncert orkiestry. — W przerwie o godz. 13.00 Chwilka dla kobiet.
15.30: F. Mendelssohn-Bartholdy: Trio d-moll op. 49.
16.25: Recital fortepianowy.
17.00: „Koncert dla naszych letnisk i uzdrowisk".
19.30: Recital fortepianowy Marji Barrówny.
20.10: Transmisja fragmentów międzynarodowego meczu tenisowego.
20.55: „Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski".
21.00: Koncert symfoniczny.
22.30: Wiadomości sportowe.
22.40: Mała Orkiestra P. R.

Środa 19 VI. 1935 r.

12.15: „Koncert dla naszych letnisk i uzdrowisk". W przerwie — Chwilka dla kobiet.
16.15: Z oper Piotra Mascagni'ego.
17.35: IX-ty Koncert z cyklu „5 wieków muzyki kameralnej".
19.30: Pieśni R. Schumanna.
20.00: „Rybactwo latem".
21.00: Koncert Chopinowski.
22.00: Transm. fragmentów międzynarodowego meczu tenisowego Polska—Japonja.
22.25: Mała Orkiestra P. R.

Czwartek 20 VI. 1935 r.

10.00: „Boże Ciało w Łowiczu".
12.20: Poranek muzyczny. — W przerwie o godz. 13.00—13.20: Teatr Wyobraźni nadaje fragment słuchowiskowy ze Lwowa.
15.35: Rimskij-Korsakow: „Antar" — symfonja.
16.15: Recital fortepianowy Marjana Dąbrowskiego.
18.00: O książce Niezabytowskiego „Polskie ssaki".
18.45: Utwory polskie w wyk. Ireny Dubiskiej.
19.30: Arje i pieśni w wykonaniu Józefa Schmidta.
20.00: Koncert symfoniczny.
21.30: Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko.
22.00: Transm. fragmentów międzynarodowego meczu tenisowego Polska—Japonja.
22.20: Mała Orkiestra P. R.

Piątek 21 VI. 1935 r.

15.30: R. Schumann: Kwintet Es-dur op. 44.
17.00: X-ty Koncert z cyklu — „Pięć wieków muzyki kameralnej".
19.50: „Rozmowa z Lechoniem".
20.10: Z twórczości Lucjana Marczewskiego.
21.00: Koncert Symfoniczny.
22.00: Wiadomości sportowe.
22.10: „W krainie pięknych głosów".

Sobota 22 VI. 1935 r.

13.00: Chwilka dla kobiet.
14.30: Nowości z płyt.
15.25: „Nasz handel morski".
18.00: Poradnik sportowy.
18.45: Utwory J. S. Bacha.
22.00: Wiadomości sportowe.
22.10: Audycja literacka.
22.30: Mała Orkiestra.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A.